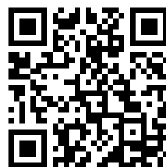





CORNELL UNIVERSITY
FOUNDED BY EZRA CORNELL

57 NARÓD SOBIE! 57

Edward Błotnicki.

Zagroda Sobkowa.

Melodramat
w 5 aktach
z muzyką
J. N. Nowakowskiego.

Wydanie drugie.

Nakładem Księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu.
Czcionkami Drukarni Mieszczańskiej T. A. w Poznaniu.
1926.

Naród sobie!

Wydawnictwo teatralne z muz. na fortepian i podłożonymi śpiewami, z pięknemi rycinami tytuł. o dwubarwnym druku.

Objaśnienie: a. — akt, dr. — dramat, drob. — drobiazg, fr. scen. — fraszka sceniczna, kom. — komedja, krot. — krotochwila, lud. — ludowy, obr. — obrazek, odsł — odsłona, op. — opera, opka. — operetka, śp. — śpiew, tr. — tragedja, wod. — wodewil, m. — mężczyźni, k — kobiety, występujące w sztuce

Po 1,50 zł

1. **Halina.** Bursztyny Kasi. Obrazek lud. 3 odsł. z tańcami. 4 m., 7 k.
2. **Żdżarski.** Akademik czyli Ofiara za Ojczyznę, 1 a. 9 m., 1 k.
3. **Kucz.** Ulica nad Wisłą. Krot. 1 a. 4 m., 3 k
4. Adam i Ewa. Krot. 2 a. 2 m., 1 k.
5. Papugi naszej Babuni. Opka. 1 a. 3 m., 4 k.
6. **Bayard.** Nic bez przyczyny. Kom. 1 a. z tańcami. 1 m., 2 k.
7. **Wieniarski.** Nad Wisłą. Krot. 1 a. z tańcami. 3 m., 4 k.
8. **Dębicki.** Bartos z pod Krakowa, czyli Dożywocie w letargu. Obr. lud. 1 a. z tańcami. 5 m., 3 k.
9. **Żółkowski.** Żyd w beczce. Wod. 1 a. 4 m., 1 k.
10. **Grange i Thiboust.** Było to pod Wagram. Kom. 1 a. 3 m., 1k.
11. **Galasiewicz.** Aby handel szedł. Obr. lud. 1 a. z tańcami, 6 m., 3 k.
12. **Ładnowski.** Lokaj za pana. Monodr. 1 a. z tańcami, 2 m., 1 k.
    Staruszkowie w zalotach. Fr. sc. 1 a. z tańcami, 1 m., 2 k.
13. O chlebie i wodzie. Kr. 1 a. z tańcami, 1 m., 2 k.
14. **Kamiński.** Kominiarz i młynarz, czyli Zawalenie się wieży. Kom.-op. 1 a. 4 m., 3 k.
15. **Jasiński.** Nowy Rok. Krot. 1 a. z tańcami, 8 m., 3 k.
16. **Żółkowski.** Bankructwo partacza. Kom.-op. 1 a. z tańcami, 4 m., 1 k.
17. **Deslandes.** Małe ladaco czyli Sierotka. Kom.-op. 1 a. 4 m., 1 k.
18. **Dmuszewski.** Szkoda wąsów. Kom.-op. 1 a. 4 m., 2 k.
19. **Godlebski C.** Miłostki ułańskie. Kom.-op. 1 a. 4 m., 1 k.
20. **Gregorowicz.** Janek z pod Ojcowa. Obr. wiejski 1 a. 3 m., 3 k.

57 NARÓD SOBIE! 57



Edward Błotnicki.

Zagroda Sobkowa.

Melodramat
w 5 aktach
z muzyką
J. N. Nowakowskiego.

Nakładem Księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu.
Czcionkami Drukarni Mieszczańskiej T. A. w Poznaniu.
1926.

OSOBY:

MARTA SOBKOWA, bogata młynarka.
KUBA SOBEK, jej dziewierz żołnierz.
O. KANTY, proboszcz miejscowy.
KACHNA.
MAGDA.
FRANUSIA.
HELENA.
WALEK, parobek.
ANTEK GRZELA, sąsiad.
MATYASZEK, druciarz, Słowak.
JOSSEŁ, arendarz, żyd.
WOJCIECH, organista.

Żebracy — Dzieci — Wieśniacy — Wieśniaczki.

Rzecz dzieje się w Tatrach w Sandeckiem.

AKT I.

Wnętrze zagrody Sobkowej. W głębi piękny widok górski, niebotyczne turnie, pokryte śniegiem. Za płotem przez najbliższy pagórek na lewo prowadzi ścieżka. Na przodzie na lewo nowa porządna wiejska chata, za chatą szopa. Na lewo w pośrodku pod drzewami stoi na ukos stół długi i duże ławy, na stołku putnia. Z przodu na prawo stół i ławka.

SCENA I.

Kachna — później *Marta.*

K a c h n a (wychodzi z chaty do zbliżających się z za płotu kilku żebraków i żebraczek).

A, już jadło zwąchali i już są pierwsi! Zwolna, zwolna! Wprzód jeść będą ci, co pracowali.

M a r t a (we drzwiach chaty).

Kachno! a co to? Z kimże to tak się swarzysz?

K a c h n a.

Jakżeż chcecie, jeszcze człek z popiołu nie wygarnął placków, a żebraków jest już pełno, jakby tu był dwór, albo fara.

Marta.

Nie chcę ja, aby naszą starą zagrodę omijali biedni ludziska. (do żebraków) Pójdźcie haw! (do Kachny) Przynieś, Kachno, placków i mleka. U mnie doma, choć ci to była bieda, przecież coś i dla biednych zostało, ale odkąd zostałam bogatą, to biedni muszą mieć więcej. (wzdycha) No, w nowym domu musi być nowy ład. (woła) Kachno!

Kachna (z chaty).

A co tam?

Marta.

A dajże placki i mleko!

Kachna.

Zaraz, zaraz, czy się pali?

Marta.

Dajże pokój, nie gderaj!... (wchodzi do chaty i wynosi misy mleka) Nie chcę im żałować marnego mleka. (stawia mleko na ławce przed szopą, bierze placki od Kachny i rozdaje żebrakom)

Kachna (zdumiona).

Czy kto widział? czy kto słyszał?

Marta.

Cóż takiego?

Kachna.

Karmić żebraków mlekiem i takiemi plackami, jakie u nas gazdowie tylko w święta jadają! Ta ci to wasze...

Marta (przerywając).

Cóż takiego?

Kachna.

Co takiego, pytacie? To znaczy marnować dary Boże!

Marta.

Ej, Kachno!

Kachna.

Jestem ja ci starą, doświadczoną osobą, ale...

Marta.

Cicho!

Kachna.

A tak, możecie mi kazać milczeć, wszak wy tu gospodynią.

Marta.

Tak! jestem tu gospodynią, a ty, Kachno, rób co do ciebie należy i milcz! Że się z ludźmi swarzysz, na to ja nie patrzę. Postarzałaś się w starej chacie, dobraś i w nowej, ale co do mnie należy, w to

się nie mieszaj. Czy ja marnuję swój dobytek, o to pytaj się ludzi a powiedzą ci, że to nieprawda. Więc czego chcesz?

Kachna (łagodnie).

Mam ci własne oczy i widzę, że wy, jak się patrzy, gospodarujecie, ale jesteście straszliwie prędka i zaraz się pogniewacie, skoro wam doświadczona osoba...

Marta (uśmiechając się).

Więc czego chcesz?

Kachna (poufale).

Widzicie, Marto, ja się przez sześć roków patrzyłam, coście cierpieli z tym nicponiem.

Marta (grożąc).

Kachno!

Kachna.

Niech mu tam Bóg przebaczy temu ladaco, boć ci był wasz Sobek! Ale nikomu nie był dobry.

Marta (łagodnie).

Ale otóż i ludzie wracają z roboty. No, Kachno, dawaj ludziom jeść; ot, idą z roboty i nasze dziopy i sąsiadów parobek. Ale zaczekaj, niema jeszcze Walka.

Kachna.

Nadejdzie on skoro, nadejdzie. (Wchodzi do chaty i wynosi misę mleka, bryndzę i placki, stawiając pod szopą. Magda, Franusia, Antek schodzą z górki, siadają za stołami po śpiewie.)

Śpiew nr. 1.

Krakowiak.

Antek i Franusia.

Antek.

Hej, góry nasze, góry,
Skały nasze, skały,
Cożeście się tak śnieżkiem
Białym posypały?

Chór.

Hej, hej, hej!

Franusia.

Trudno mieć nam w sercu
Do zbytku wesele.

Chór.

Hej, hej, hej!

Franusia.

Gdy zawczesna zima
Przed nami się ściele,
Boże nasz, Boże nasz,
Łaskę dasz, łaskę dasz,
Jeśli nam owieczki
Od szkody zachowasz.

Chór.

Oj, góry nasze, góry,
Skały nasze, skały,
Cóżeście się tak śnieżkiem
Białym posypały?
|: Tak białym posypały.:|

SCENA II.

Marta — Kachna — Magda — Franusia — Antek — Wieśniacy.

Kachna.

No, jedzcież, jedzcież, a ty, Franuś, zmów: Ojcze nasz.

(Dziewki i parobcy siadają po obu stronach stołu. Kachna od kraju po prawej, Franusia po lewej i modli się ze złożonemi rękoma półgłosem, to samo Marta po prawej na przedzie. Po pacierzu dobywają wszyscy łyżek, siadają i jedzą po chłopsku zwolna. Antek stoi z boku, nie jedząc.)

Marta.

A wy czemu nie jecie, Antku? Tyleście się dziś społem z nami napracowali, a społem nie jecie. W waszej chacie ojcowej niema nikogo, by uwarzył mleka, albo gruli, czemuż z nami nie jecie?

Antek (nieśmiało).

Ej, gaździno...

Marta.

No, cóż?

A n t e k.

Chciałbym wam coś powiedzieć, ale jakoś mi ciężko przychodzi. (zwraca się do stołu) Pójdź no haw, Franusia, może jakoś pójdzie lepiej. (Franusia przybiega) Bo to, widzicie... jabym się chciał... z Franusią... jeśli pozwolicie... ożenić.

M a r t a.

Co? ożenić? a cóż na to wasi ojcowie? A cóż wy macie, Antku?

A n t e k.

Ojcowie nasi nic przeciw temu nie mają... a dają mi młyn w dolinie, ta będzie to jakoś.

M a r t a.

Ej, dałbyś pokój, Antku, jeszcze i wam i Franusi czas. Przyjdziesz do mnie około Wszystkich Świętych, to pomówimy o tem.

K a c h n a (wołając).

No, przecież już idzie Walek!

SCENA III.

Marta — Kachna — Magda — Franusia — Antek — Wieśniacy — Walek.

M a r t a (zwracając się żywo do niego, serdecznie).

Oj, Walku! zawsześ ostatni do wypo-

czynku, a tak udyszałeś się; gdzież byłeś? czego tak biegłeś?

Walek (nieco zdyszany z kosą).

A wszak mówiliście wczoraj, że wam coś ciężу na sercu i że chcecie mówić z naszym dobrodziejem. Otóż ja, wracając z kośby, ujrzałem go tam, idącego chodnikiem, więc przybiegłem, by was uprzedzić, że tędy pójdzie do domu, możecie go zatrzymać i pogadać z dobrodziejem.

Marta.

Bóg zapłać! A siadajże do jedzenia. (odwraca się)

Antek (który z Franusią stał jak dawniej i rozmawiali ze sobą).

Ależ, Marto!

Franusia (zatrzymując Martę).

Ot, nie odchodźcie, bo widzicie, dziś tu przyszłam od bacy z szałasu. Bóg wie, kiedy znów przyjdę... ja to wam jakoś nie mogę powiedzieć i wy tego może nie rozumiecie...

Marta (prędko).

Cóż, czy tak mocno lubisz Antka?!

Franusia.

Ach, okrutnie!

Marta (rzucając okiem na stojącego obok Walka).

Jeśli ksiądz proboszcz pozwoli, to go poproszę, by was zapisał do zapowiedzi!

Antek.

Franusiu!

Franusia.

Czyż może być! więc widzisz, Antku, że i nic nagłego niema, ja zostanę jeszcze tam w kolibie u starego bacy, póki innej dziewczyny nie przyjmie Marta na moje miejsce. Aj, Antku! Antku! (siadają z Walkiem do stolu)

Marta.

Błogosław, Ojcze Niebieski!

SCENA IV.

Marta — Kachna — Magda — Franusia — Antek — Walek — Wieśniacy — O. Kanty (z za płotu z prawej strony).

O. Kanty.

Amen!

Wszyscy.

A! nasz dobrodziej!...

O. Kanty (przyjaźnie i poufale).

Siedzieć i jeść! „Jedzcie, abyście byli sytymi“, mówi nasz Zbawiciel! (do Marty) Niech będzie pochwalony! Jak się macie, Marto?

Marta.

Bóg zapłać, że też dobrodziej tak łaskaw wstąpić do mojej zagrody.

O. Kanty.

O, ja zawsze chętnie zaglądam do takiej zagrody, gdzie wszystko jak w zegarku, gdzie ludzie z Bogiem do jedzenia i z Bogiem do roboty stają. Między dobrymi udźmi mnie staremu serce się raduje, jako ojcu. A jak tu u was czysto, Marto, jak porządna chata, jak okienka świecą się od czystości! Piękne macie gospodarstwo musi to was cieszyć.

Marta.

Cieszy mnie to wprawdzie, ale nie myślcie, jegomość, abym o tem zapomniała, że może niedługo będę się mogła cieszyć. Wszystko to w ręku Boga, Bóg dał, Bóg wziął!...

O. Kanty.

A w jakiejże to książce wyczytaliście te piękne słowa?

Marta.

Oj, nie w książce to żadnej. Ot, widzi jegomość, mieszkała tu pewna biedna starowina przez 68 lat w swej chatce i składała grosz do grosza na swój pogrzeb. Otóż gdy starowina była w polu na ziołach, spaliła jej się chałupa z całym dobytkiem. Staruszka spokojnie słuchała, jak jej ludzie o tem nieszczęściu prawili i rzekła z pokorą: Bóg dał, Bóg wziął. Na te słowa serce mi się rozradowało, nabrałam jakoś ducha i od tego czasu nie stracham się niczego, a gdy nowa chata stanęła, przypomniałam sobie o nieboszce starowinie i o tych mądrych jej słowach.

O. Kanty.

I teraz na nowo życie zaczynacie z temi pięknemi słowami: Bóg dał, Bóg wziął! One i niejedno dawne wam przypominają i w przyszłości nieraz można je zastósować.

Marta.

O tak, dobrodzieju! wszystko wprawdzie, co mam, jest sprawiedliwie moje własne, bo nieboszczyk Sobek wszystko dla mnie jednej pozostawił... ale wie prze-

cież dobrodziej, że prócz mego Sobka był także jego starszy brat, którego ojciec wygnał ze swojego gospodarstwa, bo był straszne ladaco.

O. Kanty.

A prawda, Kuba, brat Sobków, syn marnotrawny, który już nie powrócił.

Marta (żywo).

I niechże Pan Bóg broni, by kiedy powrócił! Brat jego, a mój nieboszczyk Sobek, spłacił mu po śmierci ojca część jego w całości i napomniał go, aby się stał porządnym człowiekiem. A Kuba wyśmiał Sobka, pomstował mu i wyklinał. Pracował potem Kuba jakiś czas w Hamrach w Zakopanem. Mówią, że tam się chciał żenić z córką starszego kowala, ale wydarzyło się okropne nieszczęście, kuźnia straszliwie zgorzała do szczętu. Od owego czasu znikł Kuba bez śladu, niema o nim ani słychu.

O. Kanty.

Słyszałem potem, że był w wojsku, ale któż to wie, czy nie wróci?...

Marta (zatrwożona).

Oj tak, tak, myślę to sobie także, że może jeszcze i powróci! Chcę tam już w tym względzie jeździć do powiatu, ale że to człowiek nie radby w to rąk wkładać, bo nie wie, jak je nazad wydobędzie, dlatego też, dobrodzieju, jeśli łaska, żeby to jegomość chcieli, jak będą w Nowym Targu, pogadać z panem komisarzem. On to będzie wiedzieć, czy Kuba żyje, czy wrócił z wojska, czy może w nędzy, to jabym rada z duszy mu dopomódz i dałabym ci ja mu chętnie nieco grosiwa, ażeby się biedactwo oporządziło i jęło pracy.

O. Kanty.

Z całego serca, moja Marto, (wstaje) pomówię o tem; jesteście, Marto, poczciwą kobietą.

Marta.

Et, dobrodziej to taki łaskaw. Ot, boję się naprawdę, aby się kiedy między żebrakami nie pojawił brat Sobków. (żebracy kłaniają się do ziemi Marcie i O. Kantemu) Niech Pan Bóg opatrzy! (żebracy odchodzą) Radabym, abym mogła wszystko przyprowadzić do porządku, abym o przyszłość była

spokojną, alę, gdzie tam, niema o tem co myśleć.

O. Kanty.

Niewiasta chrześcijańska powinna być na wszystko przygotowaną: Bóg dał, Bóg wziął!

Marta.

Toć prawda, (uśmiechając się) ale zawszeby to lepiej było, gdyby Bóg nie brał, co dał. Prawda, że jegomość nie zapomną o mojej prośbie?

O. Kanty.

Bądźcie spokojni. Niech was Pan Bóg ma w Swej opiece. (Gdy odchodzi, zdybuje go Helena w skromnem ubraniu, w czerwonej chustce na głowie, z kijem i zawiniątkiem w ręku. — Muzyka gra, gdy ona schodzi z góry. Ona zaś całuje w rękę Ojca Kantego, który, pomówiwszy z nią chwilkę i pokazując jej zagrodę, odchodzi. Ona zbliża się zwolna, mówi ciągle z wielkim spokojem, powagą, bez przesady.)

SCENA V.

Marta — Kachna — Magda — Franusia — Antek — Walek — Wieśniacy — Helena.

Marta.

Kto tu idzie? (do Heleny) Czego chcesz, dziewczę?

Helena.

Szukam schronienia na noc, ojciec dobrodziej mówił mi, że tu tak blisko niema nigdzie chaty. Chcę więc tutaj wypocząć, jeśli zezwolicie, bo zdaje mi się, że wy tu jesteście gaździną.

Marta.

Tak jest, ale skądże przychodzisz?

Helena.

Zdaleka.

Marta.

A dokąd idziesz?

Helena.

Dalej.

Marta.

Skądże ty jesteś, dziewczyno?

Helena (po cichu).

Jeśli wam to nie na rękę, to powiedzcie.

Marta (nieco ostro).

Trzeba ci wiedzieć, jeśli nie jesteś z tych stron, że tu u nas w chatach zawsze wędrownik znajdzie gościnny nocleg, a i głodu cierpieć nie będzie.

Helena.

Dziękuję wam. (żywo) Może macie len na kądzieli?

Marta.

Co? Chciałabyś zaraz odrobić wieczerzę? Co ci przychodzi do głowy? Ot, siadaj tam z czeladką i pożywaj dary Boże. Czem chata bogata, tem rada. (do siedzących przy stole) Posuńcie się i zróbcie jej miejsce. (Dziewki i parobcy zesuwają się tak, że Walek sam zostaje na prawym brzegu stołu.)

Walek (wstając).

Tu jest miejsce; siadaj, dziewczyno, i jedz, co Bóg dał.

Helena.

Bóg zapłać! (siada, zawiniątko kładąc obok siebie)

Walek (zbliżając się do Marty).

Któż to ta dziewczyna?

Marta.

Nie wiem, nie chce nic mówić, ale słuchaj no, Walenty...

Walek (przerywa, patrząc na Helenę).

Dziewczyna ta ma coś pańskiego w sobie, a tak jakoś nieszczęśliwie wygląda...

Marta.

Ha! każdy ma na świecie swego mola, co go gryzie, ale słuchaj no jeśli pogoda...

Walek (patrząc wciąż na Helenę).

Spytajcie się, co jej jest, ona nie je, a patrzcie, ludzie są jej jakoś przeciwni...

Marta.

Ot, nie uważaj na to. To tak, jak kurczęta, skoro na podwórku jaki obcy ptak się pokaże, głowy razem poskupiają. Ale to przejdzie. Nim zmówisz Ojcze nasz, zapoznają się i zaprzyjaźnią. Weźmiemy się jutro do kośby na polanie u stawów, dobrze?

Walek.

A tak, tak, Pan Bóg jakoś błogosławi naszym halom tego roku. Wytrzymało tyle czasów, taj może zbierzemy wszystko, nim nastaną psoty.

Marta.

Bóg łaskaw, a ludzie poczciwi, więc to jakoś będzie. (Odchodzi do chaty, Walek siada z przodu na ławie, dobywa kozika z za pasa i struże toporzysko do toporka, który leżał na stole.)

SCENA VI.

Kachna — Magda — Franusia — Antek — Walek —Helena — Wieśniacy.

M a g d a (do Kachny).

Kto może być ta dziopa?

K a c h n a.

Nie z naszego ona Podhala — nasze są swarniejsze.

A n t e k.

A i jak ona ubrana, nosi się całkiem inaczej.

M a g d a (trącając Kachnę łokciem).

Spytajcie ją, Kachno!...

F r a n u s i a (łagodnie).

Ej, dajcie jej spokój!...

K a c h n a (do Heleny).

Hej, a czy to może z Kondratowej?...

H e l e n a.

Nie!

K a c h n a.

Przychodzisz może z za gór?

H e l e n a.

Z poża gór? a tak!

Kachna.

To ty może aż kaj z Liptowy? (Helena milczy) A masz iść jeszcze daleko? (Helena odkłada łyżkę, którą przez cały czas miała w ręku.)

Helena (patrząc nisko).

Ja nie wiem.

Franusia.

Kachno, dajże jej spokój, widzisz, że nie chce, aby ją pytano.

Kachna (głośno).

No, to już ona musi wiedzieć dlaczego. Wierzcie mi, to jakaś podejrzana dziopa. (wszyscy kiwają głowami, przytakując)

Magda.

Musi mieć doma złą macochę...

Franusia.

Albo biedaczki może nie chce jaki góral, którego ona polubiła?

Kachna.

Ej, kto wie, co ona zrobiła?

Franusia.

Ona tak dobrą być się zdaje.

Kachna.

O! ty się bardzo na tem rozumiesz; a ja wam mówię, że djabeł jej z oczu patrzy.

Antek (na stronie).

Oho! Kachna zaczyna swoje!

Kachna (obchodzi Helenę dokoła, mierząc ją wzrokiem).

Hm! zdaje się, że ci strawa nie smakuje, musisz być przywykłą do lepszego dajna. (wszyscy się śmieją) Ty, panieneczko, ty! (Helena odwraca się od niej) Ja wcale nie ciekawam, bo kto uczciwym ludziskom odpowiadać nie chce, to wie dlaczego. (Helena biorąc zawiniątko, wstaje)

Franusia.

Patrzcie, ona odchodzi!

Walek (wstając).

Dokąd idziesz?

Franusia (zbliżając się do niej).

Ona nie chce, aby ją wypytywano, a ci jej nie dają spokoju. (do Heleny) Ej, zostań, daj mi swoje zawiniątko.

Helena.

Puść mnie!

W a l e k (żywo).

Któż jej tu dokucza?

K a c h n a (postępując naprzód).

Cóż w tem złego, że jej się pytam, co ona za jedna.

SCENA VII.

Kachna — Magda — Franusia — Antek — Walek — Helena — Wieśniacy — Marta.

M a r t a (wychodząc z chaty).

Cóż to takiego?

K a c h n a.

Ot, anibyście się domyślili. Czy to gaździna nie ma prawa wiedzieć, kto pod jej dachem mieszka?

M a r t a (dumnie)

Jeśli to gaździnę obchodzi. Dwa razy pytać się nie myślę!

(Kachna cieszy się, wszyscy około niej skupiają się po lewej — Marta i Walek po prawej — Helena na przodzie sceny.)

H e l e n a (zbliżając się do Marty).

Jeśli na wasze pytania nie odpowiadałam, to nie gniewajcie się na mnie; jeżeli chcecie mi dać na noc przytułek, z wdzięcznością go przyjmuję, a skoro zaświta,

pójdę dalej; chcecie zaś wiedzieć, kto śpi pod waszym dachem, to wam powiem. Na imię mi Helena, jestem ubogą dziewczyną i szukam służby.

Kachna (pół głosem).

Uboga dziewczyna. (do Marty) Ona was okłamuje!

Marta.

Dajże spokój, Kachno!

Kachna (jak wyżej).

Wprzód mówiła, że musi iść dalej. Złapcie ją na jej własnych słowach, powiedzcie, że ją weźmiecie do służby. Toć i tak potrzebujecie dziopy do szałasu, jeśli Franusia odejdzie; wszak ma pójść za mąż...

Marta (do Heleny).

Szukasz służby?

Helena.

Tak jest.

Marta.

A rozumiesz ty służbę? umiesz chodzić około gospodarstwa, około statka, a robić w tolibie bryndzę, a warzyć gielatkę?

Helena.

Każdej roboty się podejmuję!

Marta.

Więc dobrze, jeśli chcesz szczerze pracować...

Kachna.

I dalej iść nie musisz....

Marta.

To zostań u mnie.

Helena (do Marty radośnie, serdecznie).

Ha, dobrze, w imię Boże. (wyciąga rękę do Marty)

Marta (biorąc rękę Heleny).

W imię Boże! robotę twoją wskażę ci, a pracę wynagrodzę, jak będę mogła. (zbliża się do Walka, który ciągle stał zdala, Marta wchodzi do chaty)

Franusia (przybiegłszy do Heleny).

A to dobrze, Helusiu! Cieszę się serdecznie! Tu dobrze! Gaździna dobra jak matka, a i bogata, jak żaden gospodarz na całem Podhalu. U niej, to jak u dziedziczki we dworze, a ja będę ci jak siostra, bo wiesz, ja także sierota, brat mi umarł, a i siostra starsza umarła, a ojcowie moi dawno już w grobie. Ja się nazywam Franusia.

Kachna (zabawnie).

A ja Katarzyna, jestem tu od lat 29, jak w domu, żebyś wiedziała.

Franusia (po cichu).

E, i ona nie taka straszna jak wygląda; można się do niej przyzwyczaić, jak młynarz do koła młyńskiego.

Antoś.

No, a teraz poczekajcie, chłopcy, ja wam coś zaśpiewam.

Magda.

A to dobrze i my coś zaśpiewamy. Pójdź, Franusiu!

Helena.

Może macie jaką robotę?

Franusia (biorąc ją za rękę).

Dziś nie zaczynaj, od jutra weźmiemy się do roboty.

Kachna (ostro).

O! robota znajdzie się zawsze. Statkowi trzeba podścielić i wody naczerpać, a i około chałupy można się zawinąć. Jeśli kto chce robić, to robotę zawsze znajdzie. Pamiętaj sobie o tem. (odchodzi w głąb, wszyscy idą za nią, prócz Heleny, Marty i Walka)

Franusia (wróciwszy).

Pójdź, Helusiu, Antek zagra na fujarce, a my zaśpiewamy. Ej, czegoż to się smucisz? Tęskno ci za domem?

Helena (patrząc w niebo, a potem ku ziemi).

Nie!

Franusia.

Pewnieś sama na świecie, prawda? (Helena potakuje głową) Myślałam to sobie zaraz, ale nie będę się już więcej pytała. — Czy ci źle z nami? — może chcesz spocząć?... radabym cię z duszy rozweselić!...

Helena (serdecznie).

Bóg ci zapłać! (Odchodzi ku szopie, Franusia patrzy za nią ze współczuciem, to samo i Walek — Kachna siadła do przędzenia przed chatą.)

Marta (która była weszła do chaty, wyszła z niej i rozmawiała z Walkiem po cichu).

Więc jutro ze świtem chcesz iść na stawy do kośby?

Walek.

Tak, tak, jabym, poczciwa Marto, rad był, żebym się wam też mógł odwdzięczyć za tyle dobrego, coście mi przez całe życie robili.

Marta (idąc z nim do chałupy).

Dałbyś pokój!

Walek.

To i prawda, bo to jakoś trudno wypowiedzieć człowiekowi, co ma na sercu.

Marta.

Zostaw to sercu; tam dobrze schowane. (odchodzi)

Antek (przyszedł na przód sceny, parobcy około niego).

Śpiew nr. 3.

Turnie nasze, turnie, hale nasze, hale,
|:Jakże Pan Bóg śliczny dał nam świat, górale:|
A dziewczęta nasze, kieby krople rosy,
Bielutkie na liczku, krucze mają włosy.

Chór.

Halu, halu, halu, cieszże się, góralu,
|:Że ci Pan Bóg rad, dał tak piękny świat.:| 3 razy.
(przegrywka).

Nasz góral po skałach kieby koza skacze,
|:Jak dobrze podskoczy, o niebo zahaczy.:|
A jak się zawinie, jak toporkiem ciśnie,
To mu toporeczek na chmurze zawiśnie, ach!

Chór.

Halu, halu, halu, itd.
(przegrywka)

Nasz góral po ziemi z rozkoszą se chodzi,
|:Chociaż mu pszeniczki złocistej nie rodzi.:|
Choć nieurodzajna, chociaż krzemienista,
Jednak tyś nam droga, boś ziemia ojczysta, ach!

Chór.

Halu, halu, halu, itd.

(przegrywka)

(Walek odchodzi po śpiewie. Za sceną słychać:)

Garnki drutowat!

Kachna (przerywając).

Hej, mnie się zdaje, że słyszę naszego druciarza z Liptowa, Matyaszka. Ten nam nagada nowin.

Franusia.

Dajże spokój, nikt nie idzie. (do Antka)

Matyaszek (za sceną).

Hej, „Garnki drutowat“ hej, hej!

Kachna.

Otóż on, Matyaszek druciarz! (wszyscy zrywają się)

SCENA VIII.

Kachna — Magda — Franusia — Antek — Walek — Wieśniacy — Marta — Matyaszek.

Matyaszek (wbiega krzycząc).

Hej, hej dobrem trafił!

Kachna.

No, przecież raz zajrzałeś do Sobkowej zagrody, przypomniałeś nas sobie przecie.

Matyaszek.

A pewno, gdyż ja sam szukam stare czerepy. (śmiech)

Kachna.

Ty, ciemny djasku.

Matyaszek.

Może mam co zdrutowat?

Kachna.

Zdrutuj sobie gębę, nicponiu, (śmiech) przyniosłeś co nowego?

Franusia.

Matyaszku, a czy Zosia Wojciechowa z Czarnego Dunajca poszła za mąż?

Matyaszek.

A! kto tam szcze zawżdy z dziopą?

Franusia.

A wiesz, Matyaszku, ja idę za Antka, będziemy mieli młyn tu w dolinie; możesz to Zosi powiedzieć.

Magda.

Nową już tu przyjęto dziewkę.

Matyaszek.

Miarkuję sam, miarkuję, że tu w Sobkowej zagrodzie wszecko nowe, próć tebe, Kachno. (śmiech)

Kachna.

Ej, daj tam pokój, Matyaszku, co tam głupstwa, a lepiej powiedz, coś hen słyszał w świecie.

Matyaszek.

Śpiew nr. 4.

Byłem w Wiedniu na wystawie,
I widziałem wszecko prawie,
Wszecko piękne, wszecko śliczne,
I swojskie i zagraniczne.

Ale wlazł tam jakiś krach,
Co sprowadził wielki strach,
I wystawa straciła,
Chociaż tak wielką była.

Lecz cicho, sza! trza się miarkowat!
Hej, garnki drutowat!

Z Wiednia szedłem prostą drogą,
Z trzeźwą głową, rześką nogą,
Ażem naszedł do Krakowa,
Aż tu znowu bieda nowa!

Lecz i tutaj ach, ach, ach,
Odbił się wiedeński krach,
Bo co w Wiedniu zbroili,
To w Krakowie wypili.

Lecz cicho, sza! trza się miarkowat
Hej garnki drutowat!

Zobaczywszy złe w Krakowie,
Myślę, że lepiej we Lwowie.
Jak góral ochoczo lecę,
A tam znowu nowe hece.

Tam teatr wystawił graf,
A dzisiaj przez dziwny traf,
Spółka weń się pobiła,
Aż się za łby wodziła!

Lecz cicho, sza! trza się miarkować!
Hej, garnki drutować!
(Helena wychodzi ze szopy z konewką po wodę do studni.)

Matyaszek (spostrzegłszy ją).
A któż san to?

Franusia.
Nowa dziewka na moje miejsce.

Matyaszek.
A, na mą dusze, wszak to sem ta...

Kachna (żywo).
Znasz ją może?

Matyaszek (półgłosem).
No, pewno: ho! ho!

Kachna (jak wyżej).
No, mówże, kto to, skąd, co za jedna?

Matyaszek,
Skąd? ja nie znam toho, ona nie szcze toho nikomu, ale tam w Kolatówce sługiwała łońskiego roku u Jędrzeja Wali.

Kachna.
Tak?...

Matyaszek,
I tam sem nikt nie znał, skąd przyszła, ale każdy Bohu dziakował, jak sem poszła.

Kachna.

A widzicie no!... dalej, gadaj, Matyaszku, albo czekaj. (idzie ku chacie) A pójdźno haw, Marto! (Helena odeszła)

Franusia.

Et, co wy też bajecie! ludziska gadają różne rzeczy, a to wszystko może nieprawda.

SCENA IX.

Kachna — Magda — Franusia — Antek — Walek — Wieśniacy — Matyaszek — Marta.

Marta (wychodząc z chaty).

No, cóż tam?

Kachna.

A posłuchajcie no, co o nowej waszej dziopie mówi Matyaszek. W trzech miejscach ją już widział, a ludzie Bogu dziękowali, skoro się jej pozbyli.

Marta.

No, cóż takiego wiecie o tej dziopie?

Matyaszek.

No, jej nikt nie zna, ale jak sem spytacie o jej dom, o jej ojców, to nie powie jak inni ludzie.

Marta.

No, to prawda.

Matyaszek.

Zważajcie, czy ona z kim się zaprzyjaźni, ona lubi być sama, ona je samowita.

Kachna.

Jezus, Marja! (Walek się zbliża)

Matyaszek.

Ona ludzi zamawia, a najbardziej młodych chłopców, — czem bardziej ich unika, tem bardziej ich ku sobie trachnie.

Marta.

Ej, głupie gadanie!

Matyaszek.

Myślicie! No, jak wam się podoba. Wy znate swoje, ja swoje. Poczekajte, zobaczyte, czy moje gadanie hłupie.

Kachna.

No, gadajże, co wiesz, gadaj. (kupią się około Matyaszka)

Matyaszek.

U Bazy Kaspra oczarowała juhasa, cały miesiąt bichał chłopiec za nią jak warjat! Co ona z nim zrobiła, nikt nie zna. Ale na św. Michała skoczył do Morskiego Oka.

Kachna.

Rany Boskie!

Matyaszek.

Jędrzej Wala miał tylko jedynaka syna, ten się miał żenić z córką mielnika z Szaflar. Na Zielone Świątki miało być weselisko — wtem ta się zjawiła, prepadło wszecko. Młody Wala prepadł gdeś i, jak mówią, poszedł do wojska. Boh zna, może go kde zastrelili.

Kachna.

I taką ladaczynę puszczają po świecie, a teraz tu przyszła dalej broić swoje! Nic z tego! Musi sobie stąd pójść, my z nią nie zostaniemy pod jednym dachem. (do innych) Prawda? (potakują jej)

Antek.

Dla takiej iść do wojska!

Magda.

Zawracać chłopcom głowę...

Kachna.

Gdzie ona? dajcie ją tutaj! niech gada! (idzie ku szopie)

Marta (energicznie).

Wara, kto tu ma rozkazywać? Kto, pytam? ja ją przyjęłam i zatrzymam, a ja jestem tu gospodynią. Co? może nie? (do Walka) Czy ty słyszałeś, co ten plótł o Helenie?

Walek.

Słyszałem.

Marta.

No, i cóż myślisz?

Walek.

Myślę, że ona jest nieszczęśliwa.

Franusia (słuchała ze współczuciem).

Ona mi się zwierzyła, że jest sierotą.

Walek (żywo z uczuciem).

Sierotą? słyszycie? (zbliżają się) Ona jest sierotą, i ja jestem sierotą, i ja zostałem sam na świecie bez ojca i matki. O, ja rozumiem lepiej od was, jak nieszczęśliwym jest sierota i jak dzikim stać się może pomiędzy złymi ludźmi.

Marta (łagodnie).

Niech Helce nikt się nie waży zrobić jakiej przykrości. Słyszycie? dajcie jej święty spokój.

Kachna.

A niech sobie robi, co się jej podoba! (bierze przędzenie) Pójdź, Matyaszku, cóż nas to obchodzi? (odchodzą wszyscy, prócz Marty i Walka)

SCENA X.

Marta — Walek.

Marta.

Cóż, Walku, czy miałam pozwolić, by

tę dziewkę krzywdzili? Lepiej zmartwienie mieć w domu, niż kogo krzywdzić. (zapada zmrok)

Walek (zbliżył się do Marty).

Nie frasujcie się, Marto. Bóg łaskaw, bo sprawiedliwość po waszej stronie.

Marta.

Oj, nie tego też ja się turbuję, ale rodzice Walka; kobiecie samej doma, to ciężko, sama dojrzeć wszystkiego nie mogę, nie chiałabym też z nikim zadzierać, bo się lękam, by nie było jakiego nieszczęścia. No, ale idź teraz spocząć, Walenty, na ciebie mogę się zawsze zdać, nie dasz mnie pokrzywdzić. (podaje mu rękę)

Walek.

Bóg z wami, Marto! (odchodzi na prawo)

Marta.

No, trzeba jeszcze przywrzeć wrota zagrody. (idzie w głąb sceny) Ale cóż to? jeszcze tu ktoś idzie, jakiś żebrak!

SCENA XI.

Marta — *Kuba* (pojawia się na pagórku).

Kuba.

Hej, gospodarzu!

Marta.

Czego szukasz, człowieku? tu nie gospoda. Jeśli szukasz noclegu, to wejdź, znajdzie się dla ciebie kąt w stajni.

Kuba (śmieje się ochrypłym głosem).

Ha, ha! piękne przyjęcie! (odtrąca nogą wrota i wchodzi do zagrody)

Melodram nr. 5.

(na sobie ma łachmany, czapkę, płaszcz i torbę płócienną, przez ramię przewieszoną, w ręku kij sękaty — zbliżył się) Aha, nie poznałaś mnie, pani Sobkowo?

Marta (udając, że się nie boi).

Nie, któż cię tu posłał?

Kuba.

Ba! zapewne ty mnie nie znasz, byłabyś inaczej psy na mnie spuściła.

Marta.

Tego tu u nas w halach nie potrzeba, tu, dzięki Bogu, dotąd poczciwi ludziska, a przeciw obcym zawłokom to i psy nasze nie poradzą i nie ustrzegą naszej własności.

Kuba (ironicznie).

Własności?

Marta (cofając się z przestrachem).

Kto ten człowiek? Hej, Walenty!

Kuba.

Hej, Walenty! a gdzieżeś ty, drągalu? Czy to ten worek przeszkadza może, że mnie nie poznajesz? czy może ten płaszcz? (zrzuca torbę, kij i płaszcz) Precz odemnie, obrzydliwa skorupo! Gaździni ta oporządzi mnie jak należy, nieprawdaż? (zbliża się) Nieprawdaż, pani Sobkowo?

Marta (ze wstrętem).

Jezus! to Kuba. (muzyka)

Kuba (ironicznie).

Tak jest, Kuba, poznaliście mnie, bratowo? Cóż, czy już zrobiono dla mnie w stajni miejsce? a może tam i jakie ogryzki zostały po twoich parobkach?

Marta.

Kubo, na rany Chrystusa! jakże ty wracasz do domu?

Kuba (ironicznie).

Do domu? ha, ha, ha! (śmiejąc się dziko) Czyś oszalała, kobieto, że to nazywasz mym domem? czy dlatego, że na tym kawałku ziemi na ten nędzny świat przyszedłem? (dziko) Zaledwie pojąłem, że to mój dom, ojciec mnie z niego wypędził. Gdy ojciec zmarł, a ja się z bratem podzielić

chciałem, rzucił mi brat garść złota, a za to schował mój dom do kieszeni. Tam na szerokim świecie kazali mi domu szukać, tam, tam miałem sobie swój dom znaleźć. Próbowałem raz tam na dole w kuźni znaleźć dom sobie. (dziko) Wyśmiali mnie, ale im gorzko ten śmiech przyszedł! ha, ha, ha! Odtąd domem moim były karczmy. Wreszcie nie było za co pić, zdjąłem ostatnią z grzbietu koszulę i grałem o nią całą noc, aby ugasić pragnienie. Ale znalazł się w karczmie jakiś druciarz Słowak, ten mi powiedział, że tutaj w zagrodzie Sobkowej wesoło, gwarno, bogato, że Sobek umarł, a Sobkowa nową wystawiła chatę... ha, ha! pomyślałem... to wybornie! — niema już za co pić, pójdę do Sobkowej, wszak to moja bratowa.

Marta.

Boże litościwy, nie opuszczaj mnie.

Kuba.

Ha, do stu piorunów! pojmujesz bratowa, że wiadomość ta musiała mnie ucieszyć, wybrałem się też zaraz co żywo tu do was i otóż jestem.

Marta (trzęsąc się).

Cicho, człowieku niedobry, o wszyst-

kiem zapominam, pamiętać chcę tylko, że bratem nieboszczyka mego męża, i żeś nieszczęśliwy.

Kuba (zapalając się).

Nieszczęśliwy!?... kto to mówi? głupiec tylko może być nieszczęśliwym! Nieszczęśliwym jest ten, co pracuje jak bydlę i z zakrwawionemi od pracy pazurami przez świat się przedziera, a niczego nie użyje, jak mój brat a twój mąż. Cóż mu pozostało? (strącając nogą torbę na ziemię) ot tyle, co mnie!...

Marta (w zapale).

Zostało mu więcej, bo poczciwe imię, ale co tam o tem z tobą mówić; ciebie nikt nie odtrącił, ty sam siebie odtrąciłeś. Według praw Boskich i ludzkich nikt cię nie skrzywdził, a jeśli na taką nędzę przyszedłeś, to Boża w tem wola. A może to i dla twego dobra, może się przecież poprawisz, weźmiesz do pracy, a będzie ci lepiej. Z mego domu cię nie wypędzam, ale ci powiadam, żebyś mi się nie ważył sprowadzać tu swoich kamratów, niech mi tu żaden progu nie przestąpi, pamiętaj o tem...

Kuba.

Fiu! jakiego rozumu nabrała moja pani bratowa, patrzcie no się, proszę! z jej domu? Za pozwoleniem, jeszcze nie podzieliliśmy się i nie wiemy, kto kogo z domu wypędzi. To cesarski urząd dopiero rozstrzygnie, zobaczymy, a tymczasem będziemy razem mieszkać i każdy z nas będzie gospodarować po swojemu ze swoimi ludźmi, rozumięsz? potem kiedyś, obrachujemy się.

Marta (do siebie z silnem postanowieniem).

Tak, tak będzie dobrze, czuję się znów silną. (woła) Walenty!

SCENA XII.

Marta — Kuba — Walek.

Kuba.

Więc to jest ten nieoceniony Walenty, ten wierny parobek?

Marta (śmiało).

Tak jest. (wskazuje Walkowi Kubę) Kuba włóczęga.

Walek (ze wstrętem).

A więc to ten Kuba... ten!...

Marta.

Wskaż mu, gdzie się może przespać. Jest moim gościem. (do Kuby) Idź, jedz, pij i prześpij się, a o reszcie pomyślimy jutro...

Kuba.

Dalibóg, mądra baba. No, pójdź, wierny Walku, pokaż mi, gdzie mam spać, ale wprzód dajcie mi gorzałki. Wy tu nie pijecie gorzałki? o, wy chamskie syny! wy nie wiecie, co dobrego, ale ja wiem. Gorzałki! Servus, pani bratowo! (odchodzi za szopę)

SCENA XIII.

Marta — Walek.

Walek (wskazawszy Kubie, gdzie ma iść, został chwilę w miejscu).

Cóż zrobicie, biedna Marto?

Marta (bierze go żywo za rękę i prowadzi na przód sceny).

Skoro świt, zaprzężesz mi bułanka do bryczki, dasz siana; na kilka dni pojadę do Nowego Targu. Tymczasem zostawiam tobie całą zagrodę. Wiem, że mogę być spokojną. Zwołaj mi tamtych, bym im powiedziała, że ty jesteś gazdą teraz, póki ja nie wrócę.

Walek.

Ufajcie mi, Marto. (odchodzi)

Marta (smutno).

Smutno kończę dzień dzisiejszy, przeczuwałam coś złego. Ale Bóg z nami.

Koniec aktu I.

Akt II.

Izba w chacie Sobkowej, w głębi drzwi otwarte — widok na łąkę. Na prawo okno — na lewo drzwi od komory. Na lewo, na przodzie stół i ławki. W głębi szafka z naczyniami, w kącie narzędzia rolnicze i t. d.)

SCENA I.

Kuba sam (leży na ławce, ma górnicę, kurzy z krótkiej lulki... Na stole butelka z wódką).

Niech ich piorun trzaśnie tych chłopów z tem ich życiem brzydkiem! Od pięciu dni jem i piję, piję i jem i nudzę się do wściekłości. Te chamskie dusze unikają mnie jak psa, któremu z łaski rzucają kęs chleba; to ta przemądra bratowa tak urządziła, aby mi ten dom obrzydł. Dopiero południe, cóż tu robić? nudzę się okropnie. Już mnie kilka razy kusiło pójść do stajni i dać co bydłu, żeby wyzdychało, jeśli ono nie ma do mnie należeć. Dziwnie to łaskotliwa rzecz mieć coś, posiadać coś. Oj! dobrześ ty rozważył, stary kowalu w Zakopanem, gdyś mi, kpie, dowodził, że mi swej córki dać nie możesz, bo nic nie mam, a ty masz wiele. (wybucha szatańskim śmiechem) Ale schwyciłem cię! ciepło ci było?... (przestraszony) pst!... sza!... cicho!... (przyszedłszy do siebie) Ha! ha! głup-

stwo! co mi do głowy przychodzi? i któż wie o tem? cały świat mówi, że to stary Jędrzej zrobił. (wściekły) Do stu piorunów! Ja muszę się czem rozerwać!... aha!... mam karty! (wyjmuje ze spodni i rzuca na stół) Ha! ha! ha! ale cóż będę samego siebie ogrywać? (idzie do okna) Doskonała myśl! Pierwszy, kto będzie przechodził, musi grać ze mną, klnę się na moją duszę! — Oho! ktoś idzie... a... a... a... a... Wiem, kto to jest, to tutejszy proboszcz dobrodziej. Doskonale! tego mi właśnie potrzeba, chciałem mu już i tak dawno powiedzieć kazanie. (wyglądając za okno — głosem błagającym) Mój dobrodzieju, na chwilkę, jeśli łaska, a proszę! proszę! (Odwraca się z uśmiechem ironicznym, skoro O. Kanty we drzwiach się ukazuje. Kuba przybiera znowu wyraz pokorny.)

SCENA II.

Kuba — O. Kanty.

O. Kanty.

Któż to mnie wzywa?

Kuba (pokornie).

Ojciec dobrodziej nie poznaje swej owieczki. Jestem Jakób, brat Sobka nieboszczyka.

O. Kanty (zdumiony).

Istotnie? ledwiebym cię poznał. Ale cieszę się, że mnie wzywasz, bo komu życie takie świadectwo wypisało na twarzy, ten niechętnie pozwala zajrzeć sobie w duszę, jeśli niema być poprawy.

Kuba (który patrzał na O. Kantego z gniewem, pokornie).

A tak, tak, dobrodzieju, właśnie przysiągłem sobie na moją biedną duszę pewną rzecz, aż oto Ojciec dobrodziej przyszedł w samą porę, aby mi dopomódz w dotrzymaniu tej przysięgi. Prawda, że mi dobrodziej pomoże?

O. Kanty.

Z całego serca.

Kuba (pokornie).

Doprawdy? (wybucha głośnym śmiechem) a więc będziesz, Ojcze, grał ze mną w karty, bo przysiągłem, że pierwszy, którego napotkam, musi grać ze mną w karty.

O. Kanty (zmierzywszy Kubę wzrokiem, do siebie).

Chciałem pójść do słabego, tu znalazłem słabszego, więc muszę zostać, bo ten ma pierwszeństwo. (składa kapelusz i laskę)

Kuba (który zebrał rozrzucone karty, a obejrzawszy się, widzi, że O. Kanty zostaje, ze zdumieniem).

Co?... Ojciec dobrodziej zostaje?...

O. Kanty.

A naturalnie!

Kuba (zuchwale).

Może mi Ojciec dobrodziej palnie kazanie?...

O. Kanty.

Tobie kazanie? A niech Bóg broni! (łagodnie) Wszakże my będziemy grali w karty? (siada na prawym końcu ławki)

Kuba (z kartami w ręku patrzy na O. Kantego).

Co? Ojciec dobrodziej usiadł tu przy mnie! (żywo) Zrobiłeś pewno niejeden dobry uczynek, ale ten chyba z nich najlepszy. Ode mnie wszyscy się usuwają, nawet moi rówieśnicy.

O. Kanty.

A z czyjejże winy, mój Jakóbie, ludzie się od was usuwają?

Kuba (rozdając karty).

Dlatego, żem żebrak!... Jeśli ma pieniądze, bijecie pokłony wszyscy. Ale!... nadejdzie czas okropnej zemsty, w którym nie będziemy mówić: „to twoje, a to moje“, przyjdzie niebawem koniec tym głupstwom.

O. Kanty.

Ale cóż się unosisz, człowiecze! wszak my mamy grać w karty! Ja biorę swoje. (sięga po karty, leżące przed Kubą)

Kuba.

Oho! powoli! to moje karty, a to wasze, Ojcze!

O. Kanty (zwolna ostro).

Czy tak?

Kuba (zdumiony).

Cóż na mnie Ojciec tak patrzy?

O. Kanty.

Dziwi mnie to, Jakóbie, jak wy mówić możecie: „to moje, a to twoje“. Ja wziąłem wasze karty, bo myślałem, że zaczynamy od siebie przewrót świata do góry nogami; wszak nowy ma nastać porządek.

Kuba (słuchał uważnie, zimno).

Czy masz mnie, dobrodzieju, za takiego głupca, że się nie poznam na twym nowym sposobie kazania? O! daremne wasze wysilenia! we mnie nie obudzicie już wiary w wasze nauki.

O. Kanty.

Mój Jakóbie! przyjdzie jeszcze chwila w twem życiu, w której przypomnisz sobie

owe nasze nauki, owe, jak powiadasz, głupstwa nasze. Daj Boże! by nie było za późno. Może ci się zdarzy sposobność widzieć jeszcze człowieka umierającego w chwili konania. Patrz na jego złamany wzrok, zajrzyj w jego duszę, ulatującą z tego świata, zajrzyj w to sumienie, które i wtedy się odzywa, gdy się czujesz najszczęśliwszym, w to sumienie, które nie zasypia nigdy! — nigdy! — (zbliżywszy się, cicho) które szarpie wnętrzności człowieka, jak kleszczami, w każdej chwili życia, które patrzy ci w oczy z każdego przedmiotu najmniejszego, z kwiatka na polu, z ocząt ptaszyny, (z naciskiem) ze wzroku dziecięcia!... (Kuba, który mimowoli z wytężeniem słuchał, odskakuje z przestrachem przy ostatnich słowach. O. Kanty patrzy na niego ze zdumieniem) Co tobie? (przerwa) Czy będziemy grać dalej? (kładzie zwolna karty, patrzy chwilę na stojącego w zamyśleniu Kubę, bierze kapelusz i odchodzi powoli)

SCENA III.

Kuba (sam, patrzy za O. Kantym).

Sumienie! sumienie!... ha! ha! ha! (śmieje się śmiechem wymuszonym, który raptownie urywa, chodzi tam i napowrót) Sumienie! a możeby też udało mi się jeszcze wrócić na drogę,

którą oni nazywają uczciwą, kto to wie?... z dziecka?... Ha! ona tu!... patrzy na mnie tem samem okiem, jak wówczas stojąc obok ojca, gdy on spaloną ku mnie wyciągnął rękę.

SCENA IV.

Kuba — Helena (z dzieckiem).

Kuba (przyszedłszy do siebie, zamyślony, oparty plecami o stół).

Ej! co mi przyszło do głowy! Ha! tak to bywa, jeśli człowiek zapędzi się w pogadankę z takimi, jak O. Kanty. Z Sobkową będę się mógł pogodzić. Sobkowa jeszcze młoda i niebrzydka; był czas, kiedy na mnie chętnie spoglądała. Przebiorę się, zostanę znowu chłopem. (Helena przechodzi przez scenę) Hej! dziewczyno!...

Helena.

Czego chcecie?

Kuba.

Pójdź tu!

Helena.

Chcecie jeść, to powiedzcie. Sobkowa kazała, by wam dać, czego zażądacie. Do pogadanki nie mam czasu.

Kuba.

Cóż ci tak pilno? Sobkowej nie ma,

Helena (sprzątając ze stołu).

Właśnie dlatego potrzeba, by wszystko było w porządku.

Kuba (zbliżając się — uprzejmie).

Zostań, nie odchodź! (Helena odchodzi ku drzwiom) Pójdź tu! Cóż tak patrzysz na mnie?

Helena.

Nie wiedziałam, że wy macie tutaj prawo rozkazywać.

Kuba.

Mam prawo, bo jestem bratem Sobka i ożenię się z Sobkową.

Helena.

Wy?

Kuba.

Czy myślisz, że ja kobietom podobać się nie mogę? ho! ho! (namiętnie) Z każdą dam sobie radę! a najłatwiej z takiemi, co chcą uchodzić za niewiniątka. (zbliża się) Cóż ty na to, mój gołąbku? (Helena cofa się z odrazą; Kuba z wściekłością) Ha! wzdrygasz się! brzydzisz się mną! (hamując gniew) Poczekaj! odpokutujesz mi za to! strzeż się, ty dumna żebraczko!

Helena (nie uważając na niego).

A! wóz z sianem wraca z łąki. (idzie ku drzwiom)

Kuba (idąc za nią).

Ja ci się przysłużę, że wszyscy od ciebie będą się odwracali z odrazą, a nawet ten Walek, co się tak około ciebie kręci. Tak! niech wszyscy widzą cię w mojem objęciu. (rzuca się ku niej)

Helena.

Spróbuj! (wybiega)

SCENA V.

Kuba — *Kachna* (z komory).

Kachna.

Trza też obejrzeć się po chacie, co się tu dzieje, zwłaszcza, że jest obcy człowiek. (patrząc ze wzgardą na Kubę, który z zaciśniętemi pięściami patrzy na Helenę) Prawda, że walna z niej robotnica, robi za dwie. (spoglądając po izbie) Hm! hm! i naczynia już pomyte i przed chatą czysto. Skąd ta dziewczyna na wszystko czas bierze? Choćby człowiek chciał, to jej nic zarzucić nie może.

Kuba (słysząc ostatnie słowa, wskazuje na Helenę).

Co? jej?

Kachna (żywo..

Albo wiecie co o niej?

Kuba.

Wiem tylko, że ona tutaj gaździna, ona tutaj rządzi wszystkiem.

Kachna.

Ba! jeszcze czego! Taka przybłęda!

Kuba.

Przecie kto mleko sprzedaje, to musi mieć do tego prawo.

Kachna (z gniewem).

Co? mleko sprzedaje, bez mojej wiedzy? bez mego pozwolenia? (wybiega do komory)

Kuba (śmiejąc się).

Podjuszyłem babę! (zagląda do butelki) Próżna! niemiły widok! trzeba ją będzie napełnić. (Bierze butelkę i czapkę i wychodzi. — Helena z Walkiem wchodzą.)

SCENA VI.

Walek — Helena.

Walek.

Zmęczyłaś się, Heluniu?

Helena.

O nie, nie było czem, jam zwykła pracy. (chce odejść do komory)

Walek.

Dokądże tak spieszysz? Zostań chwilę ze mną.

Helena.

Trza zajrzeć do czarnej izby, czas już dać obiad.

Walek (łagodnie).

Czemuż mnie tak unikasz, Heleno?

Helena.

Ja nie unikam was bynajmniej, ale nie mam czasu, mam zajęcie, którego winnam pilnować.

Walek.

Ależ to ty, Heluniu, właśnie wtedy masz zajęcie, kiedy ja się do ciebie zbliżę i dla mnie głównie nie masz czasu, mnie najbardziej unikasz.

Helena (łagodnie).

Czy zrobiłam wam jaką przykrość?

Walek.

Uchowaj, Panie Boże!... nie!... Ale uważam zawsze, że, czy to w polu, czy w chacie chcę ci w czem dopomódz, to tej pomocy nie przyjmujesz, jeśli ja mam robotę w polu, to wtedy nie wyjdziesz w pole, ale znajdziesz sobie zajęcie około domu, a jak zostanę w domu, wtedy ty święcie pójdziesz w pole do roboty.

Helena.

Wierzcie mi, Walenty, że moje serce o niczem nie myśli.

Walek (żywo).

Otóż to właśnie źle, Heluniu.

Helena.

Jak?

Walek.

Nie... nie... (przerwa)

Helena.

Chcieliście co może odemnie, Walenty?

Walek.

Widzisz, Heluniu, znalazłem koniczynę o czterech listkach — patrz.

Helena.

Więc i cóż?

Walek.

Mówią ludzie, że kto znajdzie taki listek, temu się spełni jego życzenie. Wiem ci ja, czegobym sobie życzył... ale wolę listek dać tobie i, daj Boże, żeby ci się twoje życzenie spełniło.

Helena (boleśnie).

O nie! darowany listek szczęścia nie przyniesie; zatrzymajcie go dla siebie. **(Walek rzuca listek i odwraca się)**

SCENA VII.

Walek — Helena — Kachna.

Kachna (wychodząc z komory, do Heleny).

Pójdźno haw! pójdź, pogadamy ze sobą...

Helena.

Cóż takiego?

Kachna.

To ty pozwalasz sobie sprzedawać mleko? może chcesz zaprzeczyć?

Helena.

Zaprzeczyć?

Kachna (z gniewem).

Słuchaj no ty! trzeba ci wiedzieć, że tu nie wolno nikomu nic wydawać; jak niema Sobkowej w domu, to ja tylko mam prawo rozkazywać, ja a nikt więcej, tak u nas jest w zwyczaju — rozumiesz!?

Helena (łagodnie).

Ależ, Kachno, czy mogę za wami biegać w pole i pytać o każdą kroplę mleka, o każde ziarnko kaszy?

Kachna.

Ziarnko do ziarnka, a będzie miarka! jaka mi hojna! patrzcie no ludzie! ha! ha!

Walek.

Ale dajże spokój, ty krzykliwa!

Kachna.

O tak! tybyś jej jeszcze podał stryczek. O! my wszystko widzimy, co się święci. (do Heleny) Oddaj tu pieniądze!...

Helena.

Ja nie mam przecież pieniędzy; jakieś biedne, głodne dziecko prosiło o odrobinę mleka i dałam mu je...

Kachna.

A zapewne, tylko ktoby temu wierzył!

Walek.

Ależ jeśli ona tak mówi, to musi być prawdą!...

Kachna (z gniewem).

A gdyby dziesięć razy mówiła, to ja temu nie wierzę. Ona wzięła pieniądze dla siebie. (Helena wzruszona patrzy na Kachnę, potem w niebo)

Walek (z oburzeniem).

Czy będziesz milczeć?

Kachna.

Co? milczeć? a to czemu? a to przed kim? czy może przed tobą? Tyś parobek w służbie tak, jak i ja, tylko mnie znają ludzie, a ty jesteś przybłęda.

Walek (w uniesieniu).

Stul gębę, ty stary potworze, albo cię uduszę!

Helena (przytłumiając płacz).

Wszak Marta, odjeżdżając, oddała wam, Walenty, całe gospodarstwo, więc wam dziękuję za wszystko i odchodzę...

Walek (gwałtownie).

Nie, Halko, ty nie pójdziesz!

Helena.

Pójdę!

Walek.

Nie! nie! ty nie możesz pójść! (do Kachny głosem przytłumionym) Czy widzisz, czegoś narobiła? czy wiesz, coś powiedziała?

Kachna.

A jużeć że wiem, dyć nie jestem pijana!

Walek (rozkazując).

Winnaś ją przeprosić.

Kachna.

Oho!

Walek (gwałtownie).

Przeproś ją natychmiast!

Kachna (śmiejąc się).

Czy tak?

Walek.

Przeprosisz ją natychmiast, albo, jak Bóg w niebie, wypędzę cię!

Helena (stając pomiędzy nimi).

Dajcie spokój, Walenty!

Kachna (ironicznie).

Mnie wypędzić? mnie? A niedoczekanie twoje!

Walek.

Zobaczymy, zobaczymy! aha! słyszysz? to nasz bułanek drepcze, Sobkowa jedzie! (odwraca się ku drzwiom)

SCENA VIII.

Walek — Helena — Kachna — Marta (wbiega prędko).

Walek.

W samą porę przyjechaliście, aby się przekonać, jak tu słuchają waszych rozkazów.

Kachna (tak samo, z płaczem).

W sam czas przychodzicie, aby widzieć, jak z waszą starą, wierną Kachną się obchodzą.

Marta.

Cóż to się stało? Walku, co tobie? jak ty wyglądasz! nie widziałam cię jeszcze nigdy tak zmienionego. Cóż się tu dzieje? Gadajcie prędzej! (milczenie)

Helena (występując naprzód).

Kachna była gderliwa, kłóciła się ze mną, a Walenty ujął się za mną.

Marta.

Czy tak? Więc to o ciebie chodzi?

Walek.

Tak, o nią! W moich oczach znieważyła ją Kachna, nazwała ją złodziejką, a jak jej powiedziałem, żeby to odwołała i Helenę przeprosiła, to i mnie znieważyła, nazwała mnie przybłędą.

Marta.

Ciebie?

Walek.

Ja jestem nim, to prawda, wiem o tem, ale ja tylko za was mówiłem. Wybyście byli tak samo za Heleną się ujęli. Powinniście za to Kachnę wypędzić.

Marta (słuchając, hamowała gniew — do Kachny).

Tak jest, Kachno, ty odejdziesz...

Kachna.

Co? co? co wy mówicie, Marto?

Marta.

Mówię, że odejdziesz; idź, idź, dokąd ci się podoba!

K a c h n a (dotknięta mocno, żywo z płaczem).

Tak? dobrze, wypędzacie mnie! Obyś się nie doczekała nieszczęścia. Marto, — niech wam Bóg tego nie pamięta!... (odchodzi)

H e l e n a (po odejściu Kachny żywo do Marty).

Lepiej mnie oddalcie, proszę was o to.

M a r t a (z wyrzutem).

Dlaczego? ale jeśli chcesz, to idź w miejsce Franusi do szałasu, do stryja mego. — Franusia idzie za mąż, więc i tak musi tu przyjść, jutro będą jej zapowiedzi, więc idź tam do koliby, przyślij Franusię tutaj, a sama zostań na górze.

H e l e n a (z wdzięcznością).

Dobrze! dziękuję wam. (odchodzi)

SCENA IX.

Marta — Walek.

M a r t a (patrząc za Heleną).

Oj, byłoby podobno lepiej, żeby ona była tego progu nigdy nie przestąpiła. Od czasu, jak weszła do tej zagrody, wszystko tu się zmieniło, a ta Kachna, co się tak zrosła z tą zagrodą, co to jej w najgorszej nie opuszczała doli...

W a l e k (stał przez ten czas nieruchomy).

Trzeba ją było zatrzymać, nie bylibyście mieli do mnie żalu.

M a r t a (dotknięta).

Walku, Walku, jak ty do mnie mówisz? czy i ty przemieniłeś się przez ten czas, i twoje do mnie przywiązanie?

W a l e k (żywo).

Każcie mi pójść w ogień za siebie, a pójdę, pójdę z radością!...

M a r t a (wzruszona).

Wierzę ci, wierzę, ale nie mówmy już o tej Kachnie i o tej hardej dziewczynie. Mamy o czem ważniejszem pogwarzyć. Wracając tu tak sama do chaty, postanowiłam coś ważnego... coś bardzo ważnego... Słuchaj, Walenty, tak dłużej zostać nie może. Robię jak uczciwa kobieta robić może, ale bez gazdy...

W a l e k (uradowany).

Chcecie iść za mąż?

M a r t a.

Tak jest... może tym drugim razem będę szczęśliwszą, a zresztą kogo mam się pytać o pozwolenie; wszystko co mam, to moje własne.

Walek.

Cóż wam powiedzieli w powiecie?

Marta.

Powiedzieli, że wszystko moje, że Kubie nic się nie należy i dodali jeszcze, że niech się strzeże mnie napastować, bo coś tam innego jeszcze jest na niego. Ale przecież widzisz, Walku, jabym rada z duszy mu dopomóc. Możeby się przecie jął do jakiej pracy. Prawda... ale, otóż i on idzie.

SCENA X.

Marta — Walek — Kuba **(wchodzi podpiły, nie widzi obecnych. Marta na lewo, Walek na prawo).**

Kuba.

Do krocset djabłów! ci arendarze to jedyni ludzie w tych przeklętych górach! Ale gdzież Walek, gdzie ten mazgaj, gdzie ta dziewka, co się mną brzydzi, hę? gdzie ona? **(zatacza się na Martę)**

Marta **(odtrącając go).**

Kubo!...

Kuba.

Aha! to moja pani bratowa! Servus, grys got, pani bratowo. Wiesz co, kobieto? jak ciebie nie było, postanowiłem coś, coś bardzo ważnego, a teraz umocni-

łem się w swojem postanowieniu, oho! bardzom się umocnił! (zatacza się) Wiesz co? zgoda między nami. (wyciąga ku niej rękę) Ja się z tobą ożenię!

Marta.

Co tobie? czyś oszalał?

Kuba.

Pamiętasz, Marto, jakiem to dawniej na mnie rzucałaś okiem, jakbyś chciała powiedzieć: „Ej wolałabym ci ja pójść z Kubą do ołtarza“. Co, Marto, czy może nie?

Marta (z największem oburzeniem).

A ty, niegodziwy, szkaradny zbójniku! ty się ważysz i na to porywać, co mi było dotąd najdroższem, co było moją dumą! Ty szarpiesz moją poczciwość! O Chryste litościwy! że też mi jeszcze myśleć o poprawieniu tego wyrzutka bez czci i wiary. (surowo) Jeślim kiedy mogła wątpić, że wszystko, co po Sobku zostało, do mnie należy, to już teraz, wróciwszy z Nowego Targu, nie wątpię. Tam w powiecie, powiedzieli mi, że tobie ani złamany nie należy się szeląg. Teraz precz mi z chaty, i nie pokazuj mi się tu nadal, zbójniku!

Kuba (ironicznie).

Ho, ho, jak to pani bratowa śpiewa! Czy ty myślisz, babo, że mnie... tak lada czem zbędziesz? czy myślisz, że ja się ciebie zlęknę, głupia kobieto?

Marta.

Tak, jestem słabą kobietą, ale czy myślisz, że niema mężczyzny, którybý się za mną nie ujął, któryby mnie przed tobą nie obronił? Mylisz się. Jest już od dziś silna męska ręka, co mnie zasłoni. (wskazując Walka) Oto mój mąż, ja idę za niego...

Kuba.

Za niego?

Marta.

Tak, za niego, jutro nasze zapowiedzi; jemu całą oddaję zagrodę, będzie tu gazdą. Spróbuj, czy mi wzbronisz!

Kuba (dziko).

Spróbuję.

Marta.

Idź do sądu, tam wiedzą dobrze, coś ty za ziółko.

Kuba (zatrwożony).

Co? co wiedzą?

Marta.

Powiedzieli mi tam, że trzeba, abyś tylko zaczął, jeśli masz ochotę. Oni ci radzą, byś swoją szedł drogą spokojnie.

Kuba (zatrwożony).

Oho! ty myślisz, że ja się boję? (przyszedłszy do siebie, z wzrastającą namiętnością) Dobrze, pójdę ja swoją drogą! Wypędzasz mnie, wypędzasz z chaty ojców... a tego przybłędę robisz tu gazdą? Dobrze, dobrze! pójdę znowu w świat szeroki!... pójdę dawnemi drogami, ale ty strzeż się! Wkrótce usłyszysz o mnie takie rzeczy, że ci włosy na głowie powstaną, że ci się krew w żyłach zetnie. W dzień i w nocy i w każdej życia chwili, w skonaniu nawet będziesz miała mnie przed oczyma. Przekleństwo wam! Przekleństwo! (odchodzi ze złością) Servus grys got! babo!... (odchodzi — zmrok — milczenie)

SCENA XI.

Marta — Walek.

Marta (z godnością i powagą).

Bądź spokojny, Walku! przekleństwo takich złych ludzi nie przebija niebios.

Walek.

Jednak źleście zrobili, Marto. Nie godziło się dla niego popełniać kłamstwa, nie godziło się mówić, że za mnie pójdziecie, kiedy to nieprawda.

Marta.

To jest prawdą, mój Walku... prawdą, jak Bóg na niebie, właśnie to ci przed chwilą powiedzieć chciałam. Walku, ja pójdę za ciebie, albo nigdy nie pójdę za nikogo.

Walenty (nie wierząc — zdumiony).

Za mnie? ależ to być nie może, Marto! Marto! jam ubogi parobek bez domu, bez ojców, sam na szerokim świecie.

Marta (z uczuciem — łagodnie).

O nie, Walku, nie jesteś ubogim; wszystko to już jest twojem. Ale teraz idź, mój Walku, idź, zostaw mnie samą, bo mi serce pęka, tak jakoś czuję się szczęśliwą, a jutro w kościele pogadamy. Ksiądz proboszcz przyrzekł, że jutro i nasze zapowie wesele.

Walek (z nadzwyczajnem wzruszeniem).

O Boże mój wielki! (wypada z chaty)

Marta.

Panie Boże, niech ci będą dzięki! wszystko przetrwałam cierpliwie i czuję się szczęśliwą, teraz mam tego, którego kocham.

Koniec aktu II.

AKT III.

(W szałasie dekoracja przedstawia Tatry — najmniejsze turnie, pokryte śniegiem, oświetlane zachodzącem słońcem. Na przodzie sceny szałas górski z poza kulis, ze strony lewej do połowy sceny. Z szałasu prowadzi ścieżka pod górę w głąb na prawo, tuż przed ścieżką przepaść, nad którą stoi drewniany krzyż.)

SCENA I.

Helena (sama wbiega żywo swobodna).

Dzięki ci, Panie! Jestem już na górze. To szałas starego bacy, to koliba jego i ten drewniany krzyż, o którym mówili. Więc to tu! Ach, jak tu dobrze! Mówią, że przykra prowadzi tu droga, a mnie tak to przyszło lekko. Słyszę dzwonek kościółka z doliny; dzwonią na Anioł Pański. Panie Boże, jakem Ci wdzięczna, (siada na kamieniu) żeś mi pozwolił dostać się tutaj w te góry, tak blisko Ciebie. Tam na dole, tam mi było tak ciężko, tam mnie wszystko przygniatało do ziemi. Tu dobrze, swobodnie,

bo tu jestem sama z Tobą, Boże, który czytasz w sercu mojem, który nie potępiasz tak, jak ludzie dziecko za winę ojca. Tu, nad Tatrami, niebo pogodne, tu tak wesoło, tu tak szeroko. O, Boże wielki, aż serce skacze! (słychać za sceną wesołą piosenkę)

SCENA II.

Helena — Franusia (śpiewając wchodzi).

F r a n u s i a (zobaczywszy Helenę).

Heleno, to ty, co ty tu robisz?

H e l e n a.

Marta mnie tu przysłała, Franusiu.

F r a n u s i a (żywo).

Marta? a poco, czy jej czego trzeba? czy Antek do mnie co przekazał?

H e l e n a.

Przysłała mnie tu Marta, abym przy jej stryjku została na górze.

F r a n u s i a.

Została? a to dobrze. Będzie nam weselej.

H e l e n a.

Nie, Franusiu, ja zostanę, a ty pójdziesz na dół. Jutro niedziela i twe zapowiedzi. Tak Marta mówiła i czeka na ciebie.

Franusia (niedowierzająco).
Co mówisz, Helko, jutro zapowiedzi?

Helena.
A tak, Franusiu!

Franusia.
Czy być może? Jutro, jutro, a to dobrze, a to ślicznie, poczciwa Marta. Cóż Antek na to? czy bardzo się cieszy? Więc idę, idę, bo spieszyć się trzeba, lecz prawda, wprzód tobie, Helciu, muszę pokazać robotę.

Helena.
Nie trzeba, Franusiu, ja znam tę robotę, byłam już około owiec, byłam już w szałasie. Ale powiedz mi, co znaczy ten krzyż nad przepaścią.

Franusia.
Tu, moja Halusiu, spadł raz biedny juhas, zapędził się za owcami, niebaczny wpadł w przepaść i już go ludzkie nie widziało oko. A toż mu juhasy krzyż ten postawili. Bądź więc zdrowa... jeszcze jedną mam do ciebie, moja droga, prośbę.

Helena.
Cóż takiego? powiedz tylko.

Franusia.

Jabym chciała, żebyś mi druchną była, Heluniu droga.

Helena.

Ja nie mogę stąd odejść, wszak wiesz o tem, Franusiu!

Franusia.

A dlaczegoż nie możesz? Marta pozwoli. Czy ci się żaden nie podoba?

Helena.

Żaden!

Franusia (poufale).

Możeś zostawiła kogo tam haw, z tamtej strony?

Helena.

Bóg mi świadkiem, że nie mam nikogo.

Franusia.

Ach, prawda, dla ciebie niełatwo dobraćby chłopaka, lecz noc się już zbliża, już idę... (stoi zamyślona)

Helena.

Cóż ci to, Franusiu?

Franusia.

Żal mi cię opuszczać.

Helena.

O, idź, idź i bądź zdrowa, Franusiu.

F r a n u s i a.

Dobranoc — i bądź zdrowa! (coraz ciemniej)

Śpiew nr. 6.

F r a n u s i a (śpiewa zwolna, głos gubi się za sceną).

Cicho już w dolinie.
Milczenie wokoło,
Górą księżyc płynie
I oświeca sioło.

Płyńże, płyń tam górą,
Oświecaj drożynę,
Nie kryj się za chmurą.
Wiedź do dom dziewczynę.

(Helena słucha)

SCENA III.

Helena — Walek.

W a l e k (wbiegając).

Heluniu!

H e l e n a.

Cóż wam jest, Walenty? taki zadyszany, cóż wam się stało?... skąd wy przychodzi- i za czem?

W a l e k.

Ja sam tego nie wiem, coś mnie tu tak gnało... lecz dobrze się stało, bo mi lepiej teraz, dłużej już tak trwać nie może... tego, co się we mnie dzieje, człek znieść nie jest zdolny.

Helena (żywo).

Czy z mego może powodu miałeś więcej utrapienia? może co się stało? ach, mówcie, Walenty.

Wałek.

A cóż ja ci powiem? jestem nieszczęśliwy!

Helena.

Cóż się stało? mówcie!

Wałek.

Słuchajcie więc. Sobkowa chce, abym się z nią żenił, daje mi zagrodę i cały dobytek.

Helena.

A wy?

Wałek.

Jam zrazu nie wierzył, bo czyż mogłem wierzyć? Mnie nigdy i we śnie myśl taka nie przyszła, chociaż prawda, u Marty złote serce, i gdy mi niegdyś tylko słówko rzekła, to mi dusza z radości aż skakała, a teraz...

Helena (cicho, drżąc).

A teraz?...

Wałek.

O, wszystko inaczej! wszystko się zmieniło; co się ze mną dzieje, ja sam tego

nie wiem, i gdy mi dzisiaj Marta rzekła, że chce być moją żoną, to tak mi się zrobiło, jak wówczas, gdy mi zmarła matka. Zdało mi się, że cały świat na mnie upada. (dziko) A temu wszystkiemu tyś winna, Heluniu! Od kiedy tu jesteś, od kiedy cię ujrzałem, nie widzę nikogo, nie słyszę nikogo, nie cierpię nikogo, tylko ciebie szukam i chcę być przy tobie, niczego więcej na świecie nie pragnę.

Helena (cicho).

Biedny Walenty!

Walek (z rozpaczą).

Co? ty mnie żałujesz? ot, pomóż mi lepiej!

Helena (cicho).

Cóż ja zrobić mogę?

Walek.

Ja wiem, ty mnie nie chcesz, serce twe o nikim nie myśli, samaś tak mówiła, i dlatego o takiem szczęściu nawet nie marzę, ale, że mam Martę zrobić nieszczęśliwą, ja który tyle wdzięczności jestem jej winien, dla którejbym chętnie ostatnią wylał krwi kroplę.

Helena (załamując ręce).

O, wielki Boże!...

Walek (gorąco).

Ona mnie tak lubi, chociem nie wart tego. Gdy jutro nie przyjdę, to jej serce pęknie, bo ja jej nie chcę, kochać jej nie mogę. Heluniu, jeśli trochę masz w sercu litości, pomóż mi! ach! pomóż!... zlituj się!...

Helena (jąkając się).

Dobrze... zmuszę się i powiem... niech się co chce stanie... Bóg widzi, jak mi trudno!... (z rezygnacją) Słuchajcie, Walenty!

Walek (z trwogą).

Co?

Helena (z wytężeniem).

Słyszałeś kiedy o pożarze w Hamrach? (Walek milczy) A słyszeliście pewnie o starym Jędrzeju, co kuźnią podpalił? (Walek milczy) Walenty, ja jestem córką tego Jędrzeja. (Walenty odskakuje od niej — milczenie — Helena spokojnie) Pójdźcie tu, Walenty, i słuchajcie dalej. (Walek zbliża się) Ojciec mój był kowalem, raz w kuźni pokłócił się ze starym, a że był prędki, więc w złości chwycił wielki młot i rzucił za nim. Utracił służbę. Ojciec, odchodząc, przeklął ich pono, a przytem zagroził, że pomści się krwawo za krzywdę, że im kuźnię podpali.

Matka go prosiła ze łzami w oczach, by się nad dzieckiem zlitował, by poszedł do kuźni i przeprosił kowala. Ojciec był prędki, lecz serce miał złote. Ha! pójdę, powiedział, dla ciebie to zrobię, dla naszej Haluni, i poszedł natychmiast do kuźni. Zostałam sama z matką, matka wstała, patrzyła przez okno, wtem nagle krzyknie: (zrywa się) „Pali się, kuźnia w płomieniach; twój ojciec podpalił“. (szybko) Noc była straszna, wiatr huczał i świszczał, a niebo całe w płomieniach. Ja z wiatrem pędziłam. Dopadłam doliny, tu ludzi jak nasiał, wszystko pędzi — lata! Domy się walą wśród strasznej pożogi, a zewsząd zdało mi się, że słyszę: „to stary Jędrzej podpalił, przekleństwo na tego zbrodniarza!“ Odszukałam matkę, u nóg leżał na pół spalony ojciec, konał, a zewsząd wołali: „podpalacz“. Ojciec otworzył powieki, wytężył wzrok konający... „Patrzcie, ten człowiek!“ i wyciągnął rękę „ja go widziałem podpalającego“, więcej rzec nie mógł i śmierć usta mu zamknęła. — Umarł, a ja zostałam sierotą. (przerwa) Matka wzgardzona niedługo błąkała się po świecie, zgryzoty zabiły ją, umarła. Mnie zrazu

oddali do jednego gazdy, alem stamtąd odeszła. Z miejsca na miejsce pędzi mnie złość ludzka, a w części ludzka miłość; teraz wiesz wszystko i jak odskoczyłeś, gdyś się dowiedział, żem córką zbrodniarza, tak odejdź odemnie, odejdź wyleczony, odejdź i bądź szczęśliwy! (odchodzi do szałasu — milczenie)

Walenty (ocknąwszy się ze snu).

Heluniu, ty odchodzisz? czekaj, Halko moja! (Halka znika) O, mój wielki Boże! teraz już wszystko rozumiem — więc to jest przyczyną, że stroni od ludzi — że odemnie stroni.

SCENA V.

Walek (sam).

Halko moja! jeśli tylko o to idzie, jeśli serce twoje mi nie obce, to cóż mnie obchodzi, co twój ojciec zrobił? Tyś czysta, jak to niebo, biała jak ten śnieg na turniach, i teraz, o, teraz stokroć razy jesteś mi droższą. Halko moja! (oparty na okienku chaty) Rzeknij tylko słówko! Ozwij się, ptaszyno, powiedz, czym ci miły, o! powiedz, bo jeśli mnie lubisz, wszystko dobrze się skończy; ja pójdę, powiem Marcie, ona taka dobra, poczciwa kobieta, ona

mnie zrozumie, przebaczy, ja ciebie chcę, ciebie, Heluniu! (przerwa — silniej) Wyjrzyj tu do mnie, odezwij się, Halko! (milczenie) Milczysz? Ach! widzę, że mi jesteś krzywą, że mnie nie chcesz. (milczenie) Słuchaj mnie, dziewczyno, na Boga cię proszę. (z rozpaczą) Słuchaj! ja bez ciebie żyć dłużej nie mogę, pójdę w świat za oczy, ja nie wiem, co zrobię. Halko! (słucha pod oknem, cicho wszystko) O Boże, zginąłem! (Wybiega ze sceny w rozpaczy, chwila milczenia, drzwi od szałasu otwierają się, Halka staje we drzwiach jak wryta, przyciska łzami zalaną twarz do drzwi.)

Koniec aktu III.

Akt IV.

(Scena we wsi górskiej, chaty rozrzucone, na lewo górska, niska karczemka, przed nią ława, w głębi kościółek. Przy nim mieszkanie organisty, w głębi góry, przez pagórek na lewo ścieżka. Niedziela rano.)

SCENA I.

Kuba sam.

Tutaj zaczekam, aż ona pójdzie. Z chaty mnie wygnałaś, ale stąd mnie nie wypędzisz; nim odejdę, zostawię ci dobrą pamiątkę, ale potrzeba mi kogoś, cobym go ubrał... (ciszej) cobym mu wszystko na kark wpakował, a sam sobie poszedł.

(śmieje się) Ha, ha, ha! Hej, gorzałki! Chciałaś, więc dobrze, popamiętasz ty Kubę, popamiętasz; jestem znowu samym sobą, jestem dawnym Kubą. (woła) Gorzałki!

SCENA II.

Kuba — Arendarz (z wódką).

Arendarz.

No, jest już gorzałka, na co tyle krzyku? (nalewa mu) A fajne gorzałka! tu mało kto pije, te durne chłopy nie wiedzą, co dobre... to tylko dla takich, jak wy, panie Kuba. Tu arendarz biedny, bo chłopy nie piją... ten ksiądz ich psuje.

Kuba (dając mu pieniądze).

A, ksiądz! znam go, znam. Na masz, arendarzu! (arendarz odchodzi)

SCENA III.

Kuba — Franusia — Antek — Dziewki — Parobcy — Dzieci — Organista — Druciarz (ubrani świątecznie — potem) — *Arendarz.*

Franusia (do organisty).

Panie Wojciechu, no, jak tam? rychło nasz dobrodziej wyjdzie ze mszą świętą?

Organista.

A wyjdzie za chwilę... wyjdzie, dzieweczko, ksiądz proboszcz już przyszedł,

ale gdzież te chłopcy, et caetera? (woła) Hej, chłopcy, pójdźcie et caetera. (dwóch chłopców wychodzi z domku)

Franusia.

Nie macie co się spieszyć, panie organisto, bo widzicie, mybyśmy radzi, by się nabożeństwo trochę przewlekło, nim Helka nadejdzie; my już wam, Wojciechu, za to podziękujemy.

Organista.

A dobrze, Franusiu, dobrze, et caetera.

Arendarz (zbliżając się do Franusi).

A co to będzie? A kiedy wesele? Mam śliczne rzeczy, przywiozłem z kiermaszu, jakie malowane chusteczki, a na każdym rogu prześliczny góral, taki, jakby żywy, a jakie paciorki, a jakie wstążeczki, rarytne rzeczy, a tanio dam, za pół darmo, chodźcie popatrzeć!

Franusia.

Może potem.

Antek.

My po mszy przyjdziemy. (arendarz odchodzi)

Franusia (do Antka).

Nie widziałaś Kachny?

Antek.

Nie, nie widziałem.

Franusia.

Ja ci jej także jeszcze nie widziałam, ani Walentego, ani też Sobkowej. Co to wszystko znaczy? Ja się czegoś boję! A jeszcze jak tego Kubę tam widzę, to aż mróz ze strachu przechodzi. (wskazuje go — on cały czas siedzi w milczeniu, rozparty na ławie — biorąc Antka za rękę) Dobrze, żeś ty przy mnie, chodźwa do kościoła. (idą do kościoła, prócz Kuby i druciarza)

SCENA IV.

Kuba — Matyaszek.

Matyaszek.

Aha! wy tutaj! cóż to? czyście już się poschodzili? Czyście z nią także zadarli?

Kuba (uważnie z naciskiem).

Także!

Matyaszek.

O, mnie nie zaraz zobaczy Sobkowa, ona sem kazała, co ja was, Kubo, do chaty jej nasłałem, że o tej dziewce kłamstwa nahadałem. Ho, ho! Marto, poczekaj ty trochę, nim Matyaszek przyjdzie do zahrody.

Kuba (na stronie).

A możeby się jego udało nastroić (głośno żywo) Pójdź tu, Matyaszku, a siadaj no trochę... napijesz się wódki?

Matyaszek.

Ej, ja ne piju. Ot ja sem przyszedłem na mszu do kostela, może co nowego, a może i zdarzy się jakowe robota...

Kuba (wstaje).

Chodź ze mną, a dowiesz się rzeczy przeróżnych, chodź ze mną! (Matyaszek przygląda mu się z podełba) Ja mam dytki. (pokazuje mu) Jam ci jeszcze dłużny, żeś mnie tutaj przysłał. (ciszej) Będziesz tu we wsi nocował? (milczenie)

Matyaszek (filuternie).

Może macie co drutowat? Bo to widzicie, (dobrodusznie) my tu tacy ludkowie chodyma roh po rohu han po całym swietie, a cały sem swiat to nasz, ale póki sem człek uczciwy, i naszej strati kraj, robotu, a u nas bieda, oj, bieda, tateczko. (filuternie) Może macie co drutowat? (odbiega na prawo) Hej, garnki drutowat!

Kuba.

O, ty łotrze, strzeż się, żebym tobie karku nie nadrutował! Z tym niema co robić, ten nadto przebiegły, a za mało na Martę zażarty. Ha! ta stara! (spostrzega Kachnę) Z tą będzie łatwiej, ją Marta z domu wygnała. (Kachna pochylona z paciorkami i kijem w ręce wchodzi wolno)

SCENA V.

Kuba — Kachna.

Kuba (wzgardliwie).

A co, ty stara, znalazłaś już inne miejsce?

Kachna.

A znalazłam ci ja, znalazłam ot tu pod kościołem; ot, bieda, Jakóbie, mnie starą tak wygnać z chaty, w której zestarzałam się, do której miałam prawo.

Kuba (żywo).

A tak, jak i ja.

Kachna (cofając się).

Ja zasłużyłam sobie, ale przyjdzie czas...

Kuba (jedząc).

Że popamięta...

Kachna.

Że pożałuje i zmarnieje!...

Kuba.

Wraz z dobytkiem i całą zagrodą!...

Kachna (przestraszona).

Z zagrodą? O, nie! Niech Pan Bóg zachowa, niech Pan Bóg zagrody jej strzeże, a ja, choć zdaleka, pilnować jej będę, bo człek, to jak psisko z czasem tak przywyknie, że choć go z pod chaty i pędzą

i kopią, to on tak i wraca i chaty pilnuje i krzywdy zrobić nie pozwoli.

Kuba (odwraca się i tupie nogą).

I to babsko do niczego!

Kachna (półgębkiem).

To się nie godziło wypędzać Kachny, starą, wierną Kachnę. Ale lżej mi przecie, jak się wygadałam ze starą kumą, Jackową, od której słyszałam...

Kuba (zbliżając się).

A cóż to słyszałaś?

Kachna.

Nic, czas już na mszę świętą.

Kuba.

Marty jeszcze niema w kościele.

Kachna.

Czy myślisz, że ksiądz proboszcz ma za nią czekać?

Kuba.

Dziś Marty zapowiedzi.

Kachna (ciekawie).

Marty zapowiedzi?

Kuba.

A tak, z tym Walentym.

Kachna (żywo, jak zmieniona zbliża się).

Co wy mówicie? A któż to powiedział?

Kuba.

Sama mi mówiła.

Kachna.

Z Walentym Sobkowa! A cóż to mi kuma prawiła, że wczoraj... (myśląc) sama widziała Walentego przy szałasie Halki, to już teraz milczeć nie mogę, wszystko powiem Marcie. (dzwonią) Ach, już dzwonią, ja się na mszę świętą spóźnię. (biegnie do kościoła)

Kuba.

No, przydało się przecie, żem mówił z tym gratem. Dowiedziałem się czegoś, a niezła nowina. Twój wierny Walenty ma się z tobą żenić, a chodzi za Halką. O, czekaj, bratowo, tej miłej nowinki ja ci sam udzielę. Wybornie, wszak to ona sama idzie!

SCENA VI.

Marta — Kuba.

Marta (w świątecznym stroju, sutych koralach ma książkę do nabożeństwa w ręce, na twarzy, mocno zmieniona, zwraca się ku kościołowi, nie widząc Kuby).

Czy mam tak wejść, nie wiedząc co

zaszło? On coś tai. Gdzieżby poszedł, darmo go szukam! Jego świąteczna guńka wisi nietknięta w komorze. Więc wyszedł jeszcze wczoraj z wieczora, albo dziś nadedniem. O, Boże! przeczuwam coś złego. Ale gdzie on?

Kuba (zbliżając się z cicha).

Kto — Walenty?

Marta (żywo).

Tak. (poznawszy Kubę) A tyś tutaj? (cofa się)

Kuba (spokojnie).

A tutaj, wszak tutaj mi wolno, tego mi już nie wzbronisz, ale i stąd ja pójdę rychło. O, bądź spokojną! Chciałem cię tylko zaspokoić co do Walentego. Jeśli gwałtem go potrzebujesz, to poślij do szałasu, do ładnej dziewki, do tej twojej Halki, u której był, a może jeszcze jest twój Walek. O, siarczyście się bawią ze sobą! Ba, jemu nie pilno do ciebie, a cóż ma się spieszyć, ksiądz mu przecież nie ucieknie, ani też Sobkowa. (Marta z dumą zwraca się ku kościołowi) Idź, idź do kościoła słuchać zapowiedzi. (śmieje się) Zapowiedzi Marty Sobkowej z Walentym! Servus grys got! (odchodzi do karczmy)

SCENA VII.

Marta (patrzy na Kubę).

Myślisz, że ci wierzę, że mi Walek zbrzydnie. Gdybyś ty go chwalił, możeby mi obrzydł. (zamyślona) Ale co to znaczy? w głowie mi się mąci... był u Halki... w szałasie, powiedział Kuba... to kłamstwo, ja wiem, a przecież myślę o tem! (po chwili) Pójdę do kościoła. (zwraca się ku kościołowi, Walek zbliża się zwolna, na twarzy zmieniony, blady, włos zburzony, ubranie zaniedbane) Ach! Walek, ależ jaki on blady, jak śmierć. Nie widzi mnie, czy też chce zejść z drogi. (idzie ku kościołowi i woła) Walek!

SCENA VIII.

Marta — *Walek* (zbliżył się do kościoła, staje jak wryty, usłyszawszy nieśmiałe wołanie Marty, spostrzega ją i zwolna, jakby się z miejca nie mógł ruszyć, zbliża się).

Marta (bierze go za rękę, ciągnie naprzód, mocno wzruszona).

Walku, mów, nie taj mi niczego! Bądź, co bądź się stało, powiedz mi wszystko. Rozprosz te straszne myśli, co ci po głowie chodzą i serce krają. Ty milczysz, więc to prawda? Ty byłeś w szałasie?

Walek (walcząc ze sobą).

Wiesz już o tem?

Marta (z oburzeniem).

Byłeś tam ty?

Walek (zakrywając twarz dłonią).

Byłem.

Marta (z boleścią).

U tej dziewki? U Heleny? (drżąc) Mów!

Walek (błagając).

O, nie teraz!

Marta (namiętnie).

Byłeś tam na górze, dzisiaj! I właśnie teraz, gdy ja tu czekam na przyszłego męża? (ze łzami) Czekam w trwodze, jak na własne dziecię. I ty przychodzisz, aby mi powiedzieć, żeś był u innej...

Walek (ogniście).

O, nie mów tak, Marto, i, na miłość Boga, myśl inaczej o mnie. Gdy zechcesz posłuchać, to mi uwierzysz, żem najnieszczęśliwszy.

Marta.

O, już ci nie wierzę, nic nikomu nie wierzę. Wszakże ślepo ci wierzyłam, ufałam, jak dziecko, że prędzej słonko tu spadnie na ziemię, niż ty mnie okłamiesz. Ja ci tego wreszcie nie wyrzucam, bo sercu nakazać nie mogłeś, ale, żeś mnie

mógł wczoraj tak spokojnie słuchać, gdym ci mówiła o swojem przywiązaniu do ciebie, i poszedłeś na górę, tam do niej, mnie tu zostawiając na wstyd i pośmiewisko, że to mogłeś zrobić. Walek, któremu przez całe życie... (zalewając się łzami) to źle, to szkaradnie!

Walek (nie patrząc na nią).

O, gdybym się był wprzód w ziemię zapadł! (zbliża się do Marty) To, co, Marto, mówisz, jest po części prawdą, ale Bóg świadkiem, żem nie winien temu. Jak ja ci to powiem? Jak ci to wytłomaczę? Bo, tutaj w piersiach, nie ma człek okienka, aby można zajrzeć w głąb serca, w głąb duszy i przeczytać, jak Bóg czyta, i zrozumieć, jak się stało i skąd przyszło. Marto, pozwól, niechaj wyjdę tam do kościoła, padnę na kolana, i ty chodź także i pomódl się ze mną, a potem wszystko ci opowiem, a ty mnie łatwiej wyrozúmiesz wtedy. (odchodzi)

SCENA IX.

Marta sama (chce iść za nim, lecz wstrzymuje się i wraca).

Nie! Nie mogę wejść do kościoła, bo i jakbym się modliła! Mogłabym tylko

wołać: „O, Boże, Boże, czegoż mnie tak karzesz? Wszakże byłam zawsze uczciwą kobietą, a pierwszą radość moją tak mi srodze zatruto. Wszakże Ty widzisz, Panie, że to była radość najpoczciwsza, że chciałam tylko, by on był szczęśliwym!“ To też wczoraj, gdy mi się zdawało, że nim jest, to za tę jedną chwilę byłabym dziesięć lat oddała z życia mego. A dziś! (wspiera głowę na ręce) Co on mi może po mszy św. powiedzieć? Co najgorsze, to już mi powiedział, że jest najnieszczęśliwszym!... (nagle) Boże! To ta obca dziewczyna tak go oczarowała. Ludzie mówili, a ja nie chciałam im wierzyć. O, wierzę teraz, wierzę w te powieści. I ja mam spokojnie patrzeć na to nieszczęście, które ona zrządza? O, nie, nigdy! niech ona tu przyjdzie, pójdę do księdza, niech się wyspowiada ta nędzna dziewczyna. (odwracając się) Boże, czyż ją sam pod sąd nadsyłasz? Wszakże to ona!... Tutaj idzie! (staje jak wryta)

SCENA X.

Marta — Helena.

Helena (idzie zwolna przed kościół).

Ach, gdybym widziała, gdybym przez

te ściany zajrzeć mogła, czy on tam jest... czy może poszedł jak zagroził... (spostrzega Martę) Sobkowa! (przychodzi do siebie) Wezwaliście mnie tutaj? Co mam robić? Mówcie!...

Marta (hamując się z trudnością).

Jam ciebie wezwała?

Helena.

A tak, dziś nad ranem, inaczej nie byłabym przyszła. Jeżelim była w błędzie, jeżeli to nieprawda, co mi powiedziano, żeście przyjść kazali, to ja wracam.

Marta.

Czy ci jestem w drodze? Przyszłaś tu dla niego i jego szukasz; czyście się zmówili? (Helena zdumiona patrzy na nią, Marta namiętnie) Czegoż tak na mnie patrzysz, jakbyś Panu Bogu duszę tylko była winna? Czyż nie był u ciebie? Możesz zaprzeczyć?...

Helena.

Nie!

Marta (żywo).

Może ci nie mówił, że on tylko ciebie kocha, ciebie jedynie?... (Halka spuszcza oczy) Milczysz? Nie śmiesz mi powiedzieć? (Helena potrząsa głową) Ja więc z nim tylko chcę

mówić! O, święte słowa ludzi, nie chciałam im wierzyć; dobrze mi tak, dzisiaj już zapóźno... Już się stało!

Helena (drżąc).

Stało się, na Boga, co się stało?

Marta.

Pytasz? (bierze ją za rękę, prowadząc naprzód) Ja ci powiem, moja chata była dotąd na całem Podhalu jakby kościół; tam tak wszystkim dobrze było i szczęśliwie, a łaska Boska jej nie opuszczała. Ale ty nadeszłaś i Bóg się odwrócił. Walek był dotąd chłopcem, jakich mało, uczciwym, prawym; ty go oczarowałaś, ty niecna dziewczyno! Cóżem ja ci winna, powiedz, żeś mi w dom przyniosła nieszczęście?

Helena (która ze wzruszeniem słuchała, odpowiada spokojnie i z rezygnacją).

Ja się wam nie narzucałam, anim was prosiła, byście mnie przyjęli. Prosiłam was przeciwnie, byście mnie puścili. Kazaliście zostać, zostałam, a teraz wyście mnie dotknęli najboleśniej w świecie; niech wam tego Bóg nie pamięta!... (odwraca się)

Marta (biorąc ją za rękę, głosem drżącym).

Myślisz, żem ja cię boleśniej dotknęła, niż ty mnie, dziewczyno? Otóż ja ci po-

wiem, co się tylko mówi z rumieńcem na twarzy najszczerszej przyjaciółce... Słuchaj, ja Walka kocham nad wszystko, nad życie własne. (z zapałem) Ty się musisz gorszyć, musisz mi go oddać, bo czemuż ty chcesz koniecznie tego, któregom sobie wyprosiła w niebie? Ty to wiesz najlepiej, wiesz, coś uczyniła, aby go przyciągnąć do siebie. (Helena odwraca głowę, Marta, nacierając na nią) Nie, nie, ja cię nie puszczę, póki mi nie powiesz, póki mi nie przyrzekniesz. Słuchaj, daruję ci swoje korale, one wiele warte, weź je, ale proszę cię... błagam cię na Boga.

Helena (wzruszona).

Marto! Bóg mi świadkiem, że nie wiem, czego chcecie odemnie, nie wiem, co mam czynić, nie wiem czego zaniechać. Ja chcę pójść stąd, choćby na koniec świata, jeśli to pomoże do waszego szczęścia.

Marta.

A on za tobą, bo nie wie, kim jesteś...

Helena (żywo).

O, wie, bom mu powierzyłu swoją tajemnicę, powiedziałam mu wszystko, aby go odstraszyć, bo jego być nie mogę.

Marta.

To go nie kochasz? Nie chcesz zostać jego?

Helena.

Nie, nigdy!

Marta.

Mamże wierzyć temu, co mówisz?

Helena.

Wierzcie.

Marta (żywo).

Przysięgnij na to. (słychać dzwonek, ona podnosi książkę do góry) Słyszysz ten święty dzwonek? Czy możesz złożyć przysięgę?

Helena.

Mogę.

Marta.

Żeś mnie nie okłamała?

Helena (spokojnie, patrząc w niebo).

Przysięgam!

Marta.

Żeś Walka do siebie nie wabiła, żeś nie chciała, aby był twoim, że go nie kochasz?

Helena (podnosi rękę do przysięgi).

Przysięgam, żem go do siebie nie wabiła, żem nie chciała, by był moim, żem

go... (urywa, wzdryga się nagle, wzniesiona ręka do przysięgi opada, nakrywa twarz rękami) O Boże!...

Marta (nagle).

Że go nie kochasz, przysięgnij!

Helena (bez przytomności).

Nie mogę! (chwieje się)

Marta (biegnąc do niej).

Widzisz, dziewczyno!...

Helena (jąkając się).

Ja nie wiedziałam też, aż... w tej chwili dopiero.

Marta (tupiąc nogą).

Kłamiesz! O, mój Boże, co to za potwór! Precz mi z oczu, dziewko, ja się ciebie boję. A jeżeli się mylę, jeśli cię krzywdzę, jak przed chwilą wyrzekłaś, to powiedz raz jeszcze, spojrzawszy mi śmiało w oczy, bo on tu jest także, ten, któregoś oszukała, powiedz przed wszystkimi.

SCENA XI.

Marta — Helena — Walek — Kachna — Antek — Franusia i wszyscy.

(Pierwszy wychodzi Walek z kościoła; słychać koniec pieśni nabożnej, wszyscy górale i góralki za nim.)

Walek (zobaczywszy Helenę, przybiega do niej).

Tyś tutaj?

Franusia.

A czemuż tak późno, Halusiu?

(Helena, chcąc patrzeć na Franusię, spostrzega Walka, patrzy na niego chwilę z współczuciem niewymownem i cofa się z wysiłkiem.)

Franusia (stając).

Co to?

Walek.

Kto jej zrobił co złego? (patrzy z wyrzutem na Martę)

Marta (spokojnie).

Jej samej zapytaj, niech ci odpowie. Ja tajemnic nie wiem, co myślę, zrobię, mogę śmiało wyznać przed Bogiem i ludźmi. Ja każde pytanie, jakie jej zadałam, powtórzę śmiało, niech ona odpowie!

Helena (błagając).

O, nie, ja was proszę, nic już nie pytajcie, pozwólcie, abym poszła. (odwraca się ze spuszczoną głową)

Marta.

O, idź, my cię tutaj nie zatrzymujemy, idź, ale nie tak, jakeś tutaj przyszła w czasie cnoty, prawdy, by rzucać uroki od sioła do sioła. Co ludzie gadali, to jest świętą prawdą! ja tu głośno wam wszystkim powtórzę. (wskazując ją) To czarownica!

Kachna (półgłosem, z trwogą cofając się, odmawia na koronce pacierz).

Jezu Chryste!

Franusia (półgłosem, bojaźliwie, wieszając się na ramieniu Antka).

Antku, mój Antku!

(Helena stała w milczeniu, patrząc w niebo, odwraca się, idzie w głąb, wszyscy cofają się.)

Walenty (stał jak przykuty, nagle).

Stój, ty nie pójdziesz! Ja ciebie nie puszczę! (chwyta jej ręce)

Marta (gwałtownie).

Walku, na Boga!... Ty nie wiesz...

Walek.

Ja wiem wszystko! Ona jest czystą, jak to słonko na górze, i tego nie zniosę, by ją zawstydzano. Haluś, ty zostaniesz, ja ciebie nie puszczę! (trzyma obie ręce Heleny, która stoi, jakby śniła)

Marta (żywo).

A to jakiem prawem?

Walek.

Jakiem prawem śmiem ją wstrzymać tutaj? A to prawda, ja sam obcy, ale mam prawo z nią pójść, jeśli ona zechce. (nieśmiało) Halko, czy mogę? (Helena, jak przebudzona, wyrywa mu się)

Marta.

Nie, i tego nie masz prawa!

Walek (gwałtownie).

Co? mnie pójść nie wolno, i to wy mi wzbraniacie? (ciszej, zbliżywszy się) Czy dlatego, żeś mi rękę chciała oddać i zagrodę, i dobytek? Więc myślisz, że mnie zmusisz, abym został? Skarby swoje zatrzymaj dla siebie, jam jest wolny, ja z nią idę.

Marta (rozkazująco).

Szalony, zostaniesz! Ja ci to powiadam! Czy ty myślisz, że cię trzymam jak pana młodego? Tyś mój sługa, parobek, jesteś zapłacony i zostaniesz, bo ja każę! (Walek ze spuszczoną głową, zaciskając pięści, stoi jak przykuty)

Koniec aktu IV.

Akt V.

(Ten sam wieczór. Izba ta sama, co w akcie II-gim. na przodzie kądziel.)

SCENA I.

Marta sama (na przodzie sceny).

Jak on wpadł do chaty, zamknął się w komorze, milczy i tak ciężko wzdycha, że aż litość wzbiera. Rzeczy swoje składa; widać, że chce odejść. Mogęż go zatrzymać? Jeślim zatrzymała, to tylko dlatego,

by go uchronić od nieszczęścia i zguby. Czym zrobiła dobrze? Może niepotrzebnie. (potrząsając głową) Ja się już sama teraz nie poznaję. (zaczyna mechanicznie prząść). Ha, idzie tu! (ogląda się, przędąc niby bardzo pilnie)

SCENA II.

Marta — *Walek* (wchodzi blady).

Marta (spojrzawszy nieznacznie).

O, Boże, jak on wygląda! (przędzie dalej)

Walek (łagodnie).

Czy mogę z wami słów parę pomówić?

Marta (tak samo).

Cóż chcesz, Walku?

Walek (zbliżywszy się).

Ale musicie mnie słuchać do końca, czy chcecie?

Marta (przestaje prząść).

Mów, mów.

Walek (mówi z współczuciem).

Chciałem dzisiaj rano od was pójść koniecznie, wyście nie puścili. Możeście mieli prawo. Zgniewałem się o to, może i niesłusznie. To was teraz proszę, byście

wybaczyli, bo to człowiek w zaciekłości nie wie sam co robi. Ale to już przeszło ot, tam w tej komorze Bóg mnie natchnął, i postanowiłem pójść na Kalwarją. Wszystek przyodziewek, który od was dostałem, złożyłem tam w budzie... Na siebie wziąłem tę starą górnicę, w której przyszedłem do was do chaty jako biedny sierota; niech wam Bóg zapłaci za wszystko, co od was przez tyle lat otrzymałem.

Marta (wzruszona — poważnie).

Walenty, co też ty zamyślasz? Bo nie do Kalwarji chcesz pójść, Walku. Nie zwódź mnie, Walku, powiedz, powiedz prawdę!

Walek (ze łzami w oczach i ręką na piersi).

Nie, ja was nie zwodzę, nigdy nie zwodziłem. Pan Bóg świadkiem moim!... więc idę, po drodze wstąpię do młyna i przyślę wam Janka; on wam mnie zastąpi około zagrody, póki ja nie wrócę.

Marta (wstając).

Ty już nie powrócisz, ja wiem, ty, Walku, ani myślisz o tem.

Walek.

Ach, ja nic nie myślę, niczego nie zamierzam, sam nie wiem, co zrobię, zostawiam to Bogu, bo ja sam już nie umiem poradzić sobie.

Marta.

Może ja poradzę, jeśli mnie usłuchasz. Widzisz, mój Walku, ja nie mam prawa zatrzymywać ciebie. Że cię zatrzymałam, możem źle zrobiła, ty nie jesteś dzieckiem, ale byłam w gniewie, tak, jak ty, Walku... Teraz już spokojnie mówię z tobą, nie chcę twojego smutku, ja cię uwalniam i bądź przekonany, że ci nie złorzeczę.

Walek (radośnie).

O, wyście dobra, uczciwa kobieta! Dobra nawet wtedy, kiedy się gniewacie. Wiem, że gdyby od was co było zawisło, wybyście zrobili. Lecz, cóż to pomoże? Gdybyście i chcieli dać mi ją, wy, moja Marto, tego nie możecie.

Marta (zdumiona).

Mów wyraźnie, Walku!

Walek.

Bo widzicie, Marto, od kiedy tu przyszła, skoro ją ujrzałem, mnie już ona

wskroś opanowała. A więc widzicie, mnie nikt nie pomoże. Chciałem to wam po mszy św. powiedzieć rano, lecz było za późno. Ona biedna poszła jak jaka zbrodniarka. Więc jeśli chcecie to jedno naprawić, coście tej biednej złego wyrządzili w gniewie, w zapale, poślijcie po nią, każcie ją odszukać, — wy jedna możecie.

Marta (od chwili, jak Walek zaczął mówić o Helenie, stanęła w zamyśleniu; nagle jakby jaka szczęśliwa myśl przyszła jej do głowy).

Nie, nie, mój Walku!... Ty sam to musisz zrobić! O, mój Boże! teraz wszystko widzę, teraz mi się w głowie rozjaśniło. Słuchaj, jak mnie to cieszy, że mogę ci dopomódz, że mogę ci wszystko powiedzieć. Jam ją pytała, ona mi mówiła to samo, co ty mówisz; nie chciałam jej wierzyć, kazałam przysiądz, że mówi prawdę. Przysięgała na wszystko, tylko, gdy zażądałam, aby przysięgła, że ciebie nie kocha, tego uczynić nie chciała, mówiąc że po raz pierwszy uczuła wobec Boga, że kocha. Nie chciałam jej wierzyć, a to była prawda. Tak, tak, Walku, ona kocha ciebie, wierzaj mi! Idź więc za nią prędko, odszukaj Halkę; niech tu przyjdzie. Ja

chcę naprawić, com złego zrobiła, a do Kalwarji, dokąd iść postanowiłeś, pójdzie nas troje.

Walek.

Marto!... o, mój Boże w niebie... mnie piersi rozsadzi!

Marta (zbliżywszy się).

Idź, idź, Walku, już słoneczko zachodzi, a przyprowadź Halkę.

Walek.

O, tego za wiele! (chwyta Martę z wdzięcznością za rękę) Ojcze niebieski! wynagrodź tej dobrej, tej zacnej kobiecie. (wypada z chaty)

Marta (stoi chwilę w milczeniu, z óczóczz łzy płyną, kładzie rękę na serce, podnosi ku niebu oczy i mówi spokojnie i z rezygnacją).

Bóg dał! Bóg wziął!

(Zasłona spada)

SCENA III.

(Dekoracja ta, co w akcie III-im; wieczór, szałas, wewnątrz słabo oświetlony.)

Kachna (wchodzi zwolna).

No, wreszcie wlazłam, ledwiem się wdreptała, a dawniej, hej, dawniej, to i bez wytchnienia Kachna na górę wbiegała.

Ot, noc już zapadła, rozpalę tu ogień. (Zapala na niskiem ognisku, przy którem się krząta podczas następnego Heleny monologu. Kachna Heleny nie spostrzega, później wchodzi do szałasu, przy końcu ukazuje się przy ognisku, słuchając rozmowy Heleny z Kubą.)

SCENA IV.

Helena (blada z rozpuszczonemi włosami, wchodzi zwolna mocno zmieniona).

Dalej... dalej już nie mogę. Nóg już nie czuję, siły mnie opuściły, tu wypocząć muszę. (siada na kamieniu przed szałasem, rozglądając się wokoło) Dopiero poznaję, gdzie jestem. Wszak to tu wczoraj stał on, tu pod tem okienkiem, tutaj mówił mi o swej miłości, a tam ja stałam, modląc się gorąco, by go Bóg ochraniał. (ciszej) A gdym usłyszała, że odszedł, pędem byłabym za nim biegła. Uciekłabym na koniec świata, byle mnie nie widział, byle znów nie wołał: „Halko, tyś moją na zawsze“. Rano, gdym, wzgardzona przez wszystkich, stała sama jedna, gdy on mi rękę dał i przyciągnął do siebie, o wtedy!... Boże, przebacz mi łaskawie! Ale mi się zdało, żeś Ty, Panie, rękę mi podał i podniósł do nieba. A przecież dobrze, dobrze się stało, żem poszła od niego... Czyż mogę dopuścić, by on los mój dzielił, by prze-

kleństwo, które na mnie, widać, cięży, i on także dźwigał? Pójdę dalej. — O, gdybym wiedziała, kędy moja droga, gdziebym się z mą niedolą schronić mogła przed ludźmi, przed światem... Panie! wskaż mi drogę! (podczas ostatnich słów staje pod krzyżem nad przepaścią) Ha! moja droga!... Teraz wiem, co mnie tak w drogę pędziło... (wskazując na przepaść) Nie mam innej drogi. Pan Bóg litościwszy od ludzi... przebaczy. A tu pod tym krzyżem, który postawili temu juhasowi, kiedy kto uklęknie, aby zmówić pacierz za duszę jego, pacierz ten przyjmie Pan Bóg i za moją duszę. Krok jeden i... (patrzy w przepaść) O, mój ojcze biedny, którego cień straszny jeden tylko towarzyszył mi tu na świecie, zobaczymy się, ojcze, zobaczymy się w niebie. (staje nagle przestraszona, a zachodnie słońce oświetla czarno scenę) Co? w niebie! Niebo pali się, jak wówczas. Cień mojego ojca staje znów przedemną, twarz jego blada, ta głowa spalona, to oko obłąkane zdaje się wołać: „Ja jestem niewinny, dziecko moje, oczyść pamięć moją". Ojcze, tyś niewinny! Ale, cóż poradzę? (pada na kolana) Wybacz, Boże, wybacz najłaskawiej. Zostanę, żyć

będę, jak długo każesz; niech się co chce stanie, będę cierpiała dalej. (coraz ciemniej, scena oświetlona jedynie światłem z ogniska w szałasie, skierowanem głównie na krzyż i przepaść)

SCENA V.

Helena — *Kuba* (w głębi).

Kuba.

Jest synogarliczka! Halko, jak się masz, a coś tak smutna? (Halka wstaje od modlitwy i cofa się, Kuba zbliża się, przyglądając jej) No i cóż się tak wzdrygasz? Tu niema sierpa, byś się nim broniła. Przyrzekłem, że przyjdę do ciebie, jak się ułaskawisz, więc jestem. (zbliża się do niej, Helena się cofa aż pod drzwi szałasu i staje nad ogniskiem) Nie bój się, ja ci nic nie zrobię. (zbliża się)

Helena.

Idź sobie, nie zbliżaj się!

Kuba (zbliżając się).

Czemu? (Helena chwyta głownię z ognia i staje z nią, obojętnie patrząc na Kubę; on spokojnie) Za pozwoleniem! (bierze od niej głownię, zapala sobie nią fajkę i rzuca ją, patrząc ironicznie na Helenę, poczem siada przed ogniem, paląc lulkę) Słuchaj, my dwoje nie bardzo się różnimy od siebie, cała różnica w tem tylko, że ona ciebie wypędziła wobec

mnóstwa ludzi, a mnie po cichu, tak, że nikt nie widział. (śmieje się) Więc jakaż między nami różnica? gadajże! (chwyta ją za rękę)

Helena.

Czego chcesz, człowiecze?

Kuba.

Co tu robisz? Czy chcesz tutaj zostać? Wszakże ten szałas także Sobkowej, więc czekasz, aż tu przyjdą wypędzić cię?

Helena.

Nie, nie, ja już idę... (chce odchodzić).

Kuba (obojętnie paląc lulkę).

A wiesz, którą iść drogą?

Helena.

Wiem, wiem! (odchodzi ku drzwiom)

Kuba (paląc spokojnie).

Idź koło kościoła i karczmy, tam dzisiaj wesoło, rano były Franusi z Antkiem zapowiedzi, a z południa Marty z twoim Walentym. O, gdyby można zatruć im tę radość i spytać, czy to oni sami wzięli w dzierżawę uciechę, kiedy inny człowiek pada pod brzemieniem nieszczęścia i pyta się czemu?

Helena (patrząc przed siebie).

Czemu, czemu?

K u b a (coraz żywiej).

A gdy raz takiemu biedakowi zdarzy się znaleźć okruszynę jaką, którą polubi, którąby chciał mieć dla siebie, za którąby oddał całe życie swoje...

H e l e n a (jak wyżej).

O, chętnie, chętnie!

K u b a (coraz gwałtowniej).

Wydrą ci tę okruszynę i zostawią tylko rozpacz.

H e l e n a (podnosi wzrok, potakując głową).

O, tak! tak!

K u b a.

O, jabym rad wrzasnąć im nad uchem w czasie ich uciechy, tak, żeby potruchleli; co to?

H e l e n a (ponuro).

Tak, tak!

K u b a (żywo).

I tybyś rada? To pójdź, pójdź ze mną; zobaczysz, jak ci będzie, gdy wet za wet oddasz. (w najwyższym zapale) O, widzieć tych, co nam boleść sprawili, co nam szczęście skradli, widzieć ich jęczących na gruzach swego szczęścia, o, to rozkosz piekielna!! Kto ją raz poznał, nie oprze się pokusie!... Chcesz ją poznać także?...

Melodram nr. 8.

Helena (stała jak wryta w zadumaniu, z oczyma wlepionemi przed siebie, wzdryga się przy ostatnich słowach, jakby jej nagle jaka myśl przyszła, patrzy na Kubę i pyta silnym, konwulsyjnym głosem).

Cóż, cóż będziem robili?

Kuba.

Słuchaj, twemu Walkowi wlazła w głowę zagroda i majątek Marty. Czy ty uważasz na co się zanosi? Będzie burza, patrz na tę chmurę, wiatr się wzmaga, słyszysz? Za chwilę poczną bić pioruny w górach. Rozumiesz? (jeszcze ciszej) Ty znasz lepiej zagrodę odemnie, ja dostarczę wszystkiego... noc ciemna... i nim się spostrzegą, stanie zagroda Sobkowej w płomieniach, jak...

Helena (wpatrując się w twarz Kuby, głosem strasznym).

Jak kuźnia w Zakopanem?

Melodram.

Kuba (odskakując przestraszony).

Ha, co to?

Helena (chwyta go bezprzytomnie).

Patrz mi w oczy, podpalaczu, nie znasz mnie?

Kuba (przestraszony).

Ha, dziecko Jędrzeja!

Melodram.

Helena.

Tak, dziecko Jędrzeja! Teraz znam już ciebie. Na ciebie to mój ojciec, konając, patrzał, na ciebie wskazywał, wołając: „oto jest podpalacz! Ja jestem niewinny!“ Zaprzeczysz temu, łotrze?

Melodram.

Kuba (jak w szaleństwie).

Ze wzroku dziecięcia... tak mówił O. Kanty! hej!... któż mnie chwyta?! Precz odemnie!

Helena.

O, nie! Pójdziesz ze mną, pójdziesz przed sąd Boży, pójdziesz przed sąd ludzi! Musisz zeznać wszystko i oczyścić pamięć ojca mojego!! Słyszysz?!

Kuba (wydzierając się).

Nie, nie, stokroć nie!! (przychodząc do siebie) I cóż mi zrobisz, ty nędzny robaku? Ja cię na proch zetrę! Oskarż mnie!... Powiem, że kłamiesz! Gdzież są dowody? gdzież świadkowie?!

Helena (w rozpaczy).

Boże! Boże!

Kuba (dziko śmiejąc się).

Ha, ha, ha! Wezwij swojego Boga, wezwij go tu, aby ci ten Bóg twój dopomógł ścigać mnie! (cofa się tyłem, twarzą do Heleny, plecami do krzyża; mówiąc ostatnie słowa, zbliża się, cofając pod krzyż nad przepaść) Dogońcie, jeżeli możecie! — Melodram. – (nogą jedną w przepaść, rękoma chwyta się krzyża) Ha, co to? Przekleństwo!! (Krzyż łamie się, Kuba wpada z nim w przepaść. Grzmoty.)

Helena (idzie za cofającym się Kubą, spostrzega go nad przepaścią i woła).

Stój, czekaj, tam przepaść! (Kiedy Kuba runął w dół, Helena z wniesionemi w górę rękoma, pochylona naprzód ku przepaści, do widzów plecami.)

Kachna (przy końcu rozmowy Kuby z Heleną, ukazała się w głębi szałasu, niewidziana przez mówiących, wybiega z szałasu i pada na kolana na przodzie sceny, wznosząc ręce żywo).

Matko Boża! Zlituj się nad nami! (milczenie)

Helena (odwróciwszy się).

Boże sprawiedliwy! Mój ojciec niewinny. To, co tutaj zaszło, wiem ja tylko i Pan Bóg. (składa ręce do modlitwy)

Kachna.

O, i ja tu byłam, i ja wiem wszystko, i świat będzie wiedział, będą wiedzieli ludzie. (Helena, która jej wpierw nie widziała patrzy na nią ze zdumieniem) Dziękuj Bogu, dziewczyno, mam jeszcze sił tyle, że mogę chodzić i mówić. Ale co to? Tu ktoś świeci i idzie na górę. Jako żywo to, Walek!

Walek (wbiega z palącą się drzazgą, którą mu Kachna bierze z ręki).

Halko, Halko moja!

Helena (która stoi ze złożonemi rękoma, nie zważając na słowa Kachny, z wzniesionemi w górę oczyma, modli się. Na głos Walka wzdryga się, zalewa łzami i z największem uczuciem biegnie do Walka).

Walku, mój Walku! (pada w jego objęcia) Pobłogosław, Panie!

Kachna.

I przebacz jego duszy!

Melodram.

(Koniec sztuki przy oświetleniu tej głowni, którą Kachna wyrwała z rąk wchodzącego Walka.)

(Zasłona spada)

KONIEC.

57. ZAGRODA SOBKOWA.

Edward Błotnicki.

Muzyka J. N. Nowakowskiego

Nr. 1. Krakowiak.

Fortepian.



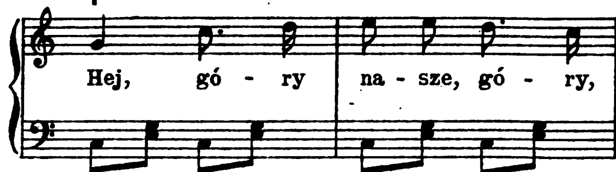


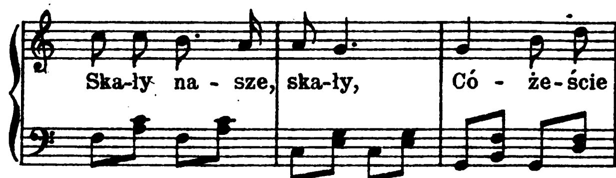




Drukiem C. G. Rödera w Lipsku. 57 Nakładem A. Cybulskiego w Poznaniu.

Śpiew: Antek.







Chór.



Franka.

Trud-no mieć nam w sercu Do zbyt-ku we-

Chór.

se - le, Hej! hej! hej!

Franka.

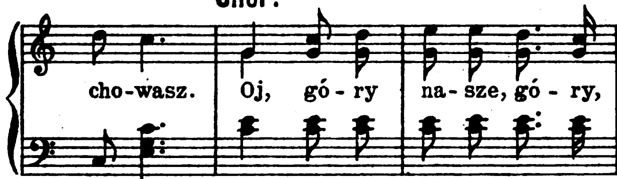
Gdy za-wczes-na zi - ma

Przed na-mi się ściele. Bo-że nasz,


Bo - że nasz,
Łas-kę dasz,
łas - kę dasz,


Jeś - li nam o - wieczki
Od szko-dy za-

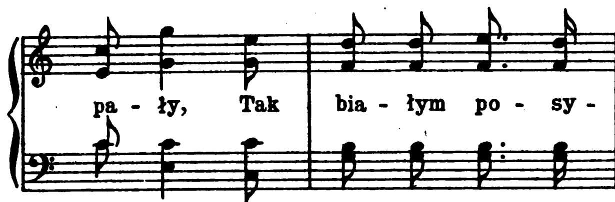
Chór.


cho-wasz.
Oj, gó - ry
na - sze, gó - ry,


Ska - ły na - sze,
ska - ły,
Có - żeś - cie

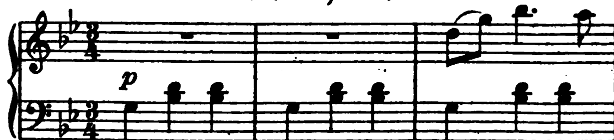

się tak śnież-kiem bia-łym po-sy-


pa-ły, Tak bia-łym po-sy-


pa-ły, Tak bia-łym po-sy-


pa-ły?
1 raz.

Nr. 2. Melodram. (akt I, sc. V.)







Nr. 3. Mazurek.







Antek.


Tur - nie na-sze, tur-nie,


ha - le na-sze, ha-le! Jakże Pan Bóg


śliczny dał nam świat, gó - ra-le.




lento
Jak-że Pan Bóg ślicz-ny


più mosso
dał nam świat, gó - ra-le.
A dziewczę-ta


na-sze,
kie-by kro - ple
ro-sy,

Bie-lutkie na licz-ku, kru-cze ma - ją

f Chór.

wło - sy. Ach! Ha - lu! ha - lu! *p* ha - lu!

ff cieszże się, gó - ra - lu, *pp* Że ci Pan Bóg

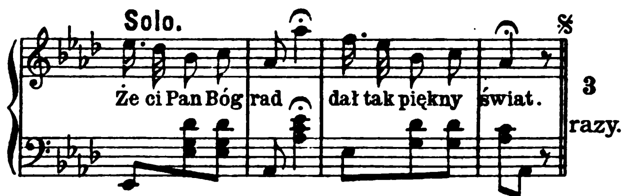
rad dał tak pięk-ny świat,



1. raz Solo, 2gi raz Chór.



Solo.



Nr. 4. Piosnka druciarza.

Allegro.





Moderato.

Spiew. Matyaszek.

p

By - łem w Wiedniu

na wy - sta-wie I wi - dzia-łem

wszec - ko pra-wie, Wszec - ko pięk - ne,

wszec - ko ślicz - ne I swoj - skie i

za - gra - nicz - ne.

p

A-le wlazł tam ja-kiś krach, Co spro-wadził wiel-ki strach I wystawa straci-ła, Chociaż tak wiel-ką by-ła.

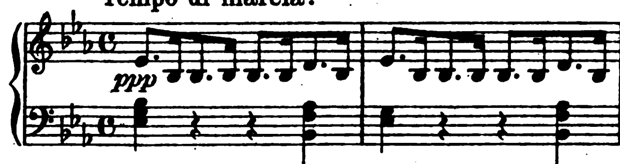
ad libitum

Lecz cicho, sza! trza się miar-kować! Hej, garnki dru-to-wat!

3 razy.

Nr. 5. Melodram. (akt I sc. XI.)

Tempo di marcia.



















Proza: Jezu! to Kuba.

Nr. 6. Mazurek.



Franusia.

Cicho już w do - li - nie, Mil-cze-nie wo -

ko - ło, Gó-rą księ - życ pły-nie

I o-świe - ca sio-ło. Płyńże, płyń tam

Nie kryj się za

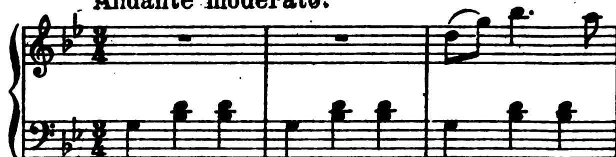
gó-rą, O-świecaj dro - ży - nę,

chmurą, Wiedź do dom dziewczynę.

Nr. 7. Melodram. (akt III sc. III.)

Proza: Słyszałeś kiedy o pożarze w Hamrach?

Andante moderato.









Nr. 8. Melodram.

Allegretto.

Solo Flet.







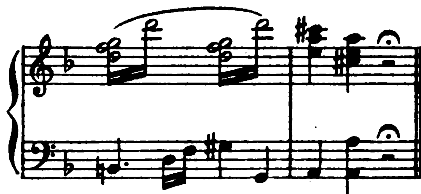


Proza:

Jak kuźnia w Zakopanem.

Allegro.





Proza:
Ha, dziecko
Jędrzeja!

Allegro.





Proza:
Zaprzeczysz temu,
łotrze?

Lento.





Proza:
Dogońcie, jeżeli możecie!





Koniec.

21. **Dmuszewski.** Okopy na Pradze. Kom.-op. 1 a. 5 m., 2 k.
22. **Kamiński.** Szlachta czynszowa czyli Kłótnia o wiatr. Kom.-op. 1 a. 4 m., 2 k.
23. **Słowaczyński.** Chłopiec studukatowy, czyli Zaklęta w kaczkę księżniczka na Ordynackiem. Fr. 1 a. 8 m., 3 k.
24. **Ładnowski.** Zosia druhna. Monodram 1 a. 1 k.
25. **Sosnowski.** Dożynki. Obr. 1 a. z tańcami 7 m., 4 k.
26. **Ładnowski.** Wesele na Prądniku. Obr. lud. 2 odsł. z tańcami, 8 m., 5 k.
27. **Wieniarski.** Ulicznik Warszawski. Krot. 1 a. z tańcami, 7 m., 3 k.
28. **Kucz.** Tajemnice Starego Miasta. Krot. 1 a. 4 m., 2 k.
29. **Ziołek.** Przybłęda. Obr. z życ. ludu. 2 a. 5 m., 3 k.
30. **Kołodziej.** 10 000 mk. Kom. 2 a. z tańc. 6 m., 2 k.
31. **Domnik.** Sieroce wiano czyli Wójt z Grotkowic. Szt. lud. 2 odsł. 7 m., 3 k.
32. **Domnik.** Wesele Zosi. Sztuka lud. 1 a. 5 m., 4 k.
33. **Dębicki.** Cyrulik ze Zwierzyńca. Obr. l. 1 a. 5 m., 2 k.
34. **Górski.** Posag w kominie. Kom. 2 a. 5 m., 2 k.
35. **Kołodziej.** Bogata wdowa. Obr. wiejski 2 a. 6 m., 2 k.
36. **Skorupka.** Wybory do rady miejskiej. Kom. 1 a. 3 m., 2 k.
37. **Tłoczyński X.** Fatalna szafa. Krot. 1 a. 5 m., 3 k.
38. **Wieniarski.** Szwaczka Warszawska. Krot. 1 a. 3m., 2 k.
39. **Ramult.** Pan Majsterek. Hum. scen. 1 a. z tańc. 4 m., 2 k.
40. **Danielewski.** Nie rzucim ziemi. Nastr. muz. 1 odsł. 4 m., 1 k.
41. **Danielewski.** Pieśni prababek. Nastroje muz. 1 odsł. 3 m., 2 k.
42. **Zembrzuski.** Bohaterskie dzieci. Obr. dram. 1 a. 8 m., 3 k., 5 dziewcz.

Po 1,50 zł (21–42)

51. **Szygethi.** Stary piechur i syn jego huzar. Krot. 3 a. z tańcami, 10 m., 3 k.
52. **Friedberg Dr.** Prawica i lewica. Sztuka lud. 3 a. z tańcami, 10 m., 5 k.
53. **Brodziński.** Wiesław czyli Wesele Krakowskie. Operetka nar. z tańcami, 1 a. 5 m., 5 k.
54. **Clairville i Thiboust.** Czuła struna. Kom. 1 a. 2 m., 2 k.
55. **Bobowski.** Za nic żydowskie swaty. Kom. 1 a. z tańcami, 4 m., 4 k.
56. **Domnik.** Wigilja św. Andrzeja. Szt. 1 a. z tańc. 9 m., 8 k.
57. **Błotnicki.** Zagroda Sobkowa. Meloldr. 5 a. 7 m., 5 k.
58. **Gutowski.** Surdut i siermięga. Obraz dram. 3 a. z tańcami, 11 m., 3 k.
59. **Karwatowa.** Na naszej glebie. Obr. lud. 2 a. z tańcami, 6 m., 4 k.

Po 3 zł (51–59)

13 do

60. **Fredro J. Al.** Piosnka wujaszka. Kom. 1 a. 6 m., 2 k.
61. Komornik - poeta. Kom. 2 a. 4 m., 3 k.
62. **Scribe i Augustin.** Szpital warjatów. Opka. kom. 1 a. 4 m., 1 k.
63. **Colomb.** Biedny rybak. Kom.-op. 1 a. 4 m., 2 k.
64. **Kołodziej.** Na wymiarze. Obr. wiejski 3 a. 7 m., 3 k.
65. **Barriere i Lorin.** Fortepian Berty. Kom. 1 a. 2 m., 2 k.
66. **Kołodziej.** Macocha. Obrazek dram. 4 a. 12 m., 5 k.
67. **Kołodziej.** Sąsiedzi. Obr. z życ. lud. wiej. 3 a. 11 m., 2 k.
68. **Korzeniowski.** Karpaccy Górale. Dram. 3 a. 8 m., 3 k.
69. **Danielewski.** Medalik Częstochowskiej albo Kolonista pruski. Sztuka 1 a. 5 m., 2 k.
70. **Korzeniowski.** Okrężne. Kom. 2 a. z tańc. 7 m., 5 k.
71. **Karwatowa.** Kachna. Obr. lud. 3 a. 6 m., 3 k.
72. **Kołodziej.** Poczciwy młynarz czyli Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Obr. lud. 3 a. 9 m., 3 k.
73. **Gregorowicz.** Werbel domowy (Pod pantoflem). Obr. lud. 1 a. 4 m., 2 k.
74. **Anczyc.** Chłopi arystokraci. Szkic dram. 1 a. 6 m., 3 k.
75. **Anczyc.** Łobzowianie. Obr. dram. 1 a. 7 m., 3 k.

Po 3 zł

98. Los sieroty czyli Niewinność zwycięża. Obrazek z rzeczywistego życia. 9 odsł. 4 m., 4 k.
99. **Domnik.** Stare Miasto. (Na Chwaliszewie). Sztuka 4 a. z tańcami, 17 m., 8 k.

Po 6 zł

100. **Galasiewicz i Mellerowa.** Pan Żołzikiewicz (Szkice węglem Sienkiewicza). Obraz dram. 5 odsł. z tańcami. 15 m., 6 k.
101. **Kamiński.** Skalmierzanki czyli Koniki Zwierzynieckie. Kom.-op. 3 a. 9 m., 7 k.
102. **Galasiewicz.** Czartowska Ława. Dram. lud. 4 a. 15 m., 9 k.
103. **Galasiewicz i Mellerowa.** Chata za wsią. Dram. lud. 5 a. 18 m., 11 k.
104. **Karwatowa.** Na służbie. Sztuka lud. 5 a. z tańcami, 10 m., 8 k.
105. **Galasiewicz.** Maciek Samson. Kr. lud. 3 a. 20 m., 13 k.
106. **Anczyc.** Robert i Bertrand czyli Dwaj złodzieje. Krot. 4 a. 17 m., 4 k.
107. **Domnik.** Król dziadów. Utwór scen. 6 obr. ze śpiew. i tańcami, 29 m., 8 k.
108. **Krasiński.** Zamek na Czorsztynie czyli Bojomir i Wanda. Op. 2 a. 3 m., 2 k.
109. **Kamiński.** Zabobon czyli Krakowiacy i Górale. Zabawka dram. 3 a. 13 m., 3 k.

Po 8 zł

(Ciąg dalszy niniejszego katalogu do nabycia w księgarni A. Cybulskiego, Poznań, św. Marcin 10.)

